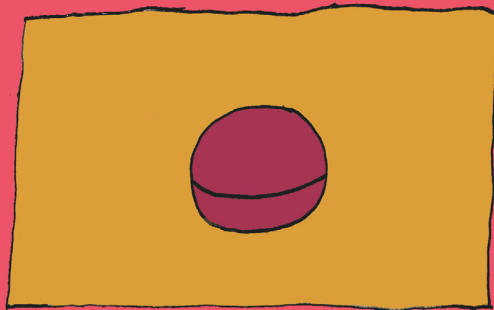




MIKOŁAJ
TKACZ
NA TŁE
PLANSZY
SWOJEGO
KOMIKSU
«TIGERRO
& HIPPO».

Alter
pop

#16

ISSN 2084-4999 7,23zł(23% VAT) LISTOPAD 2013

Dźwięk:

Obraz:

Słowo:

Interakcje:

Doładuj telefon i czytaj Alterpopa:

doladowania.alterpop.pl

** z potwierdzeniem doładowania zawsze otrzymasz link do najnowszego numeru*

**Alter
pop**
MAG E-ZINE

numer 16
listopad 2013
ISSN 2084-4999

Redaktor naczelny
Tadeusz Bisewski

Redakcja
Kamil Downarowicz
Karolina Joisan
Maciej Kaczmarek
Ana Matusevič
Jakub Miłszewski
Wojciech Onyśków

Korekta
Michał Adamski

Wydawca
Alterpop Media s.c.
ul. Śląska 35/37
81-310 Gdynia

**NIE OGARNIASZ
INTERNETU
?**

**WYPRÓBUJ NOWE,
NIEZWYKLE FUNKCJONALNE**

ALTERPOP.PL

PREMIERY

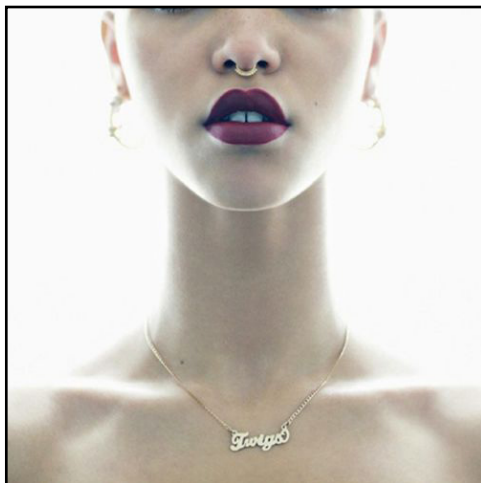
płytowe

#elektronika #trip hop

FKA twigs

EP₂

Nazywa się Tahliah Barnett, ma 25 lat, mieszka w Londynie i jest pasjonatką tańca. Obdarzona niezwykłą urodą dziewczyna zadebiutowała w zeszłym roku małą płytą pt. **EP**, ale dopiero wydana pod koniec września **EP2** zwojowała muzyczny świat. Wszystko dzięki doskonałemu wideoklipowi do równie znakomitej piosenki **Water Me**. Dojrzałość panny Barnett i siła tego oraz trzech pozostałych utworów po prostu porażają, przywołując na myśl złote czasy trip hopu z perłami w rodzaju **Mezzanine** Massive Attack, **Homogenic** Björk czy **Nearly God** Tricky'ego. Z drugiej strony jest tu również coś z melancholii Purity Ring, ze spokojniejszych kawałków Aphex Twina, a nawet z minimalistycznej atmosfery nagrań Laurie Anderson. Pochwały należą się współproducentom – Liamowi Howe (eks-Sneaker Pimps) i Alejandro Ghersemu vel Arca (maczał palce w produkcji płyty **Yeezus** Kanye Westa, jest też autorem świetnej płyty **Stretch 2**). Produkcja jest pełna niuansów i doskonale wyważona – nie dominuje nad wokalem FKA twigs, lecz go uzupełnia.



◀ [klikaj numer strony, aby wracać do spisu treści](#)

Potraktowane pogłosem kleiste bity, ambientowe podkłady, odległe echa, dziwaczne stukoty, bliżej niesprecyzowane dźwięki sączące się jak syrop i oczywiście głos Tahliah – zmysłowy, pełen emocji, zniewalający, po prostu wspaniały. Z niecierpliwością czekam na longplay.

#downtempo #easy listening

Nightmares On Wax

Feelin' Good

George Evelyn to prawdziwy weteran nowych brzmień i najdłuższy stażem przedstawiciel legendarnej wytwórni Warp Records. Płyta **Smokers Delight**, którą w 1995 roku wydał pod szyldem Nightmares On Wax, stanowi absolutną klasykę gęstego, zadymionego trip hopu. **Feelin' Good**, siódmy krążek studyjny, to najbardziej „organiczna” płyta brytyjskiego producenta – do jej nagrywania zaproszono regularny zespół złożony z wokalistki, perkusisty, basisty oraz znanego ze współpracy z Jazzanova aranżera instrumentów smyczkowych. Evelyn okraślił całość swoimi producenckimi sztuczkami. Powstała w ten sposób muzyka to poprzetykana dęciakami, smyczkami i fortepianem mieszanka downtempo, hip hopu, reggae, funku, a nawet soulu i popu. Zgodnie z tytułem jest to rzecz lekka i przyjemna, wręcz niezobowiązująca – do tego stopnia, że właściwie nie wywiera większego wrażenia. Śródziemnomorski klimat Ibizy, na której od kilku lat mieszka Evelyn, jest tu z pewnością wyczuwalny, ale ucierpiała na tym nowatorskość – **Feelin' Good** nie ma w sobie nic z dawnych poszukiwań Nightmares On Wax.



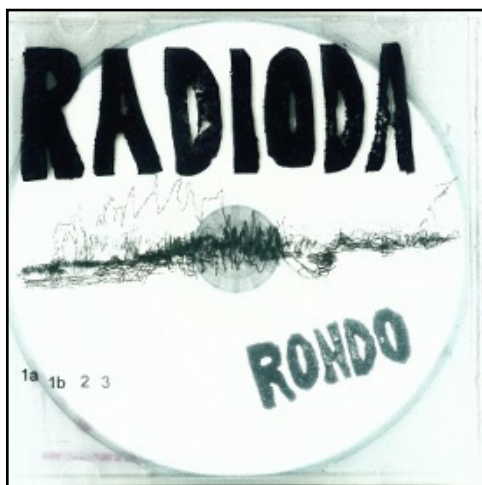
Zamiast tego otrzymaliśmy zestaw dziesięciu utworów, które mogłyby wypełnić popołudniową ramówkę Chilli Zet. Trochę szkoda.

#eksperyment #noise

Radioda

Rondo

Stary odbiornik radiowy nie musi być zapomnianym gruchotem zalegającym na strychu czy niedziałającym elementem wystroju lokalu w stylu retro – może stanowić również pełnoprawny instrument. Nagrywający jako Radioda bracia Mikołaj i Piotr Tkacz wykorzystują dwa radia – pocziwy model Unitra Diora Beskid i nieco nowszy Grundig Freaxx 20 – w wyjątkowo twórczy sposób – kręcąc gałkami, generują pokłady analogowego szumu, który jest monotonny i zarazem pełen dynamiki. Efektem improwizowanego skakania po częstotliwościach jest płyta **Rondo** wydana nakładem amerykańskiej oficyny Copy For Your Records. Na album składają się trzy utwory, trwające równo 10 minut i 34 sekundy, oraz foliogramy odpowiadające ścieżkom w danym utworze. Tak jak sam koncept imponuje pomysłowością, tak te wszystkie szумы, sprzężenia, trzaski i strzępy audycji („...teraz naukowcy już wiedzą...”) robią piorunujące wrażenie swoją bezkompromisowością i hipnotycznością. W odpowiednich warunkach dokonania Radiody potrafią wprowadzić w prawdziwy trans. **Rondo** to coś więcej niż pierwszorzędny noise – przy odrobinie starań mogą być to wrota do odmiennych stanów świadomości, swoisty „kosmiczny rytuał”. Takie określenie w alterpopowej



skali ocen oznacza maksymalną notę wystawioną płycie, na którą **Rondo** w pełni zasługuje.

#new wave #shoegaze

Tropic of Cancer

Restless Idylls

Tropic of Cancer został zawiązany w 2007 roku przez Juana Mendeza i Camellę Lobo. Obecnie jest to solowe wcielenie Lobo. Po serii bardzo dobrych singli i EP-ek oraz kompilacji **The End Of All Things** wreszcie przyszedł czas na pierwszą płytę długogrającą. Nie będzie ona zaskoczeniem dla kogoś, kto zna dotychczasowe dokonania ToC. Camella jest wierna fascynacjom, które ujawniała już na poprzednich wydawnictwach swojego projektu. Są to przede wszystkim lata 80. ubiegłego wieku i twórczość artystów takich jak wczesne The Cure, Siouxsie and the Banshees, Slowdive, My Bloody Valentine i Cocteau Twins. Jeden utwór – **Children of a Lesser God** – przywołuje na myśl piosenki Julee Cruise wykorzystane w **Twin Peaks**. Nietrudno odgadnąć, że całość jest przepełniona atmosferą z pogranicza jawy i snu – tęskną, rozmarzoną i jednocześnie niepokojącą, przede wszystkim zaś szalenie melancholijną. Miarowe uderzenia suchych bębnow, dudniący bas, syntezatorowe drone'y, wokalizy Lobo i przede wszystkim charakterystyczna, „podwodna” gitara sprawiają, że jesienna depresja może nabrać jeszcze ciemniejszych barw. **Restless Idylls** to idealna płyta do gapienia się przez okno, po tafli którego spływają krople deszczu.



Skala ocen:

Space Ritual

Stairway To Heaven

To musi być miłość

Dusza diabłu sprzedana

Nadciągą noc komety

I Can't Get No Satisfaction

Welcome To The Jungle

Ta piosenka powstała dla pieniędzy

**
Mam tak samo jak ty

*
Kim jest człowiek,
jeśli nie człowiekiem tylko

#modern classical

Stefan Wesołowski

Liebestod

Jeżeli rodzimy artysta wydaje płytę w barwach wytwórni Important Records, która publikowała nagrania Coil i Merzbow, i jeśli płyta ta ma swoją premierę na festiwalu Unsound, to znak, że mamy do czynienia z czymś wyjątkowym. Stefan Wesołowski, kompozytor, skrzypek i współpracownik Michała Jacaszka, zadebiutował przed pięcioma laty niezwykle albumem **Kompleta**, który zawierał muzykę liturgiczną opartą na modlitwie brewiarzowej. **Liebestod** to już nieco lżejszy kaliber, oczywiście na tyle, na ile lekka może być płyta mająca w tytule słowa „miłość” i „śmierć” (czyżby nawiązanie do końcowej arii z **Tristana i Izoldy** Wagnera?). Sześć utworów składających się na niespełna 40-minutową całość wpisuje się w konwencję modern classical. Jest więc fortepian, są instrumenty smyczkowe i dęte, ale pojawiają się też nagrania terenowe, kobiecy głos w utworze tytułowym, a nawet miękka rytmika techno w kompozycji **Route**, co w połączeniu z orkiestrowymi aranżacjami kojarzy się nieco z dokonaniem Murcofa czy Pantha du Prince (elektroniki jest tu mimo wszystko niewiele). Pomimo mocnego osadzenia w klasyce Wesołowski przemawia własnym językiem. Najczęściej jest to język podniosły, chwilami wręcz patetyczny, jednak nie sposób odmówić mu swoistego piękna. Kapitalny album.



Opracował: Maciej Kaczmarek

#rock #grunge

Pearl Jam

Lighting Bolt

Pięknie starzeje się zespół z Seattle. Status supergwiazd rocka i wspaniały dorobek artystyczny w postaci 10 długogrających płyt nagranych na przestrzeni 22 lat nie sprawił, że grunge'owcy odpuścili sobie i zaczęli ze znużeniem odcinać kupony od przeszłości. Wręcz przeciwnie – są ciągle głodni muzyki i potrafią włożyć w jej komponowanie kawał serca. A co ważniejsze, nadal posiadają ponadprzeciętny dar konstruowania niezwykle zgrabnych, chwytliwych melodii z pogranicza alternatywy i popu. Tym razem postawili na nostalgię i spokojniejsze brzmienie. Choć są także na **Lighting Bold** momenty, kiedy Eddie Vedder udowadnia, że struny głosowe ma w znakomitej kondycji i potrafi porządnie wrzasnąć w rytm dynamicznych partii gitar. Choć najnowszy album amerykańców nie jest dziełem wybitnym, to słucha się go naprawdę dobrze i można przy jego dźwiękach spędzić kilka przyjemnych wieczorów.

#indie #folk #blues

Haim

Days Are Gone

Czy można nie polubić trzech pięknych, młodych siostr, które swoim **indie** wizerunkiem potrafią rozmiękczyć najbardziej twardych angielskich dziennikarzy muzycznych? Odpowiedź może być tylko jedna – nie można. Dziewczyny uwodzą od pierwszego kontaktu z ich twórczością. Posiłkując się popem z lat



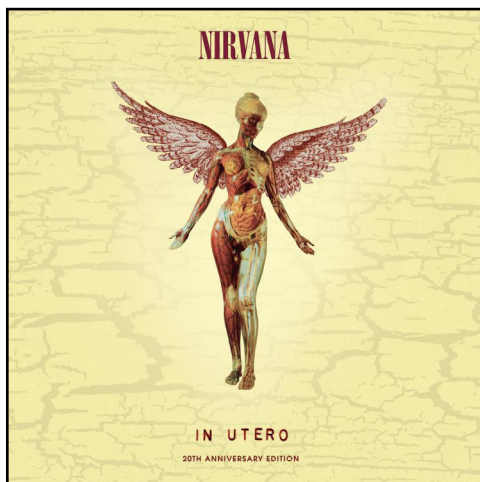
80., indie-folkiem czy bluesem, układają te gatunki na współczesny język i sygnują oryginalnym podpisem. W ich muzyce jest miejsce zarówno na psychodeliczne gitarowe granie w postaci **Let Me Go**, jak i na rozkoszne ballady – **Go Slowe**. Pojawia się nawet niezobowiązująca zabawa z R`n`B – **My Song 5** – i radiowym popem – **Falling**. Całość brzmi naprawdę dobrze i przekonująco. Takich „girls bandów” życzymy sobie więcej.

#grunge #reedycja

Nirvana

In Utero 20th Anniversary Edition

Są płyty, które nawet po kilkunastu latach od premiery, robią na słuchaczach kapitalne wrażenie. Jedną z nich jest z pewnością **In Utero** wydana przez legendarną Nirvanę. Jubileuszowa edycja albumu, który rozszedł się po świecie w 30 mln egzemplarzy, oprócz zremasterowanych utworów z oryginalnego krążka z 1993 roku zawiera także wiele niepublikowanych wcześniej nagrań, wersji koncertowych oraz niesłyszanych wcześniej zapisków demo drużyny Kurta Cobaina. **In Utero** pierwotnie był nagrywany w czasie, gdy Nirvana chciała za wszelką cenę odlepić od siebie łatkę popowego, przyjemnego w odbiorze zespołu dla licealistów. Udało im się to w 100%. Brudny, szorstki i ostry materiał różnił się znacznie od tego, co zespół zaprezentował na **Nevermind**. Jest to jeden z najważniejszych albumów w całej historii muzyki, a dwudziesta rocznica jego nagrania jest wspaniałą okazją do odświeżenia znajomości z twórczością Nirvany.

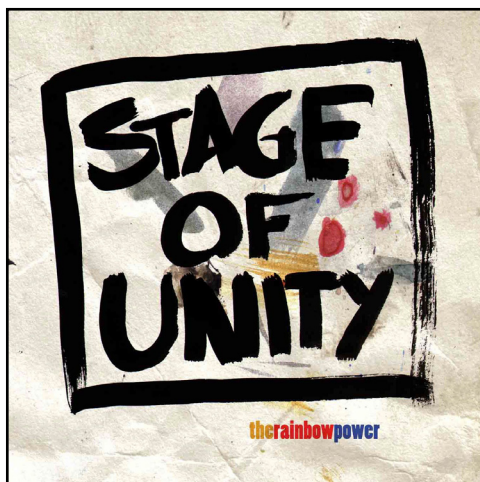


#reggae #80's

Stage Of Unity

The Rainbow Power

Stage Of Unity został założony we Wrocławiu w 1988 roku i z miejsca, obok Bakshisha i Izraela, stał się jednym z najważniejszych zespołów reggae w kraju. Wielbiony przede wszystkim za rewelacyjne występy na żywo dolnośląski kolektyw oczarowywał publiczność oryginalnym brzmieniem, łączącym klasyczne jamajskie rytmy z bluesowymi zagrywkami i dubowym pulsem. Dzisiaj kapela ta jest nieco zapomniana, ale nadarzyła się właśnie wyborna okazja, aby przypomnieć ich osiągnięcia. Nakładem Lion Stage Records na rynek trafiły bowiem dwie płyty zespołu z początku lat 90. – **Good Conection** oraz **Jah Bring I**. Elegancki digipack pod nazwą **The Rainbow Power** zawiera zmasterowany materiał, który wydany był do tej pory jedynie na kasetach magnetofonowych. Możemy więc na nowo pobujać się w rytmie takich hitów jak **War In a Babylon**, **List do św. Pawła** czy **Ruszaj**. **The Rainbow Power** wspaniale oddaje **feeling** dawnych lat, przywołuje wspomnienia i pozwala na chwile zapomnienia. Zwłaszcza, że brzmienie Stage'owców jest łagodne i przyjemne, aż dosłownie czuje się powiew letniego wiatru na policzkach. Rzadko który zespół reggae dzisiaj już tak gra.



Przygotował: *Kamil Downarowicz*

Muzyczne mistyfikacje

Kilka tygodni temu sieć obieła wiadomość o płycie **Starman** Milky'ego Edwardsa i grupy The Chamberlings, zawierającej stare, soulowe przeróbki utworów z klasycznego już krążka **The Rise and Fall of Ziggy Stardust and the Spiders From Mars** Davida Bowiego. Tyle, że prawdopodobnie ani Edwards, ani jego zespół nigdy nie istnieli, zaś całość wygląda na umiejętnie spreparowane fałszerstwo.

Na zamieszczonym na YouTube filmie ktoś, kogo twarzy nigdy nie widać, wyjmuje ze stylowej koperty czarny winyl, kładzie go na talerzu gramofonu i opuszcza igłę. Po chwili rozlegają się

dźwięki energetycznego coveru piosenki **Starman**. Utwór brzmi tak, jak gdyby Tom Jones trafił do studia z którymś z zespołów z wytwórni Motown i zarejestrował z nim słynną kompozycję Bowiego. Wejście na kanał użytkownika ukrywającego się pod pseudonimem MilkyEdwards ujawnia jeszcze dwie inne przeróbki utrzymane w podobnym stylu – **Moonage Daydream** i **Soul Love**. Informacja w opisach umieszczonych pod filmami głosi, że jest to rzadki, trudny do zdobycia album nagrany przez zapomnianych artystów. Na stronie milkyedwards.com widnieje okładka **Starmana**, z której wynika, że przerebiono całą zawartość legendarnego krążka Bowiego, ale na YouTube można znaleźć tylko wspomniane trzy piosenki.



Milky Edwards and The Chamberlings
Starman



Milky Edwards and...
Starman

Wszystko wskazuje na to, że płyta podpisana jako Milky Edwards & The Chamberlings jest rzeczą na wskroś nową, lecz zręcznie wystylizowaną na nagranie z lat 70. Płytwi kolekcjonerzy z forów internetowych niemal jednogłośnie orzekli, że jest to **humbug**, co potwierdzili również graficy i designerzy. Liternictwo użyte na okładce (przypominającej obwolutę płyty **Reflections** The Supremes) to współczesna czcionka Mojo Standard, na dodatek rozciągnięta w sposób sugerujący użycie nowoczesnych programów graficznych. Istnienia Milky'ego Edwardsa nie potwierdzają największe internetowe serwisy płytowe: AllMusic, Discogs i RateYourMusic. Nikt też chyba nie nabrał się na zamieszczony pod jedną z piosenek komentarz, według którego Milky Edwards podpisał kontrakt z wytwórnią Mercury, ale po tym, jak piosenkarz został satanistą i popełnił samobójstwo, wydawca zniszczył większość egzemplarzy jego pierwszej płyty. Taka historia raczej nie uszłaby niczyjej uwadze, nawet gdyby wydarzyła się przed czterdziestu laty i dotyczyłaby debiutanta.

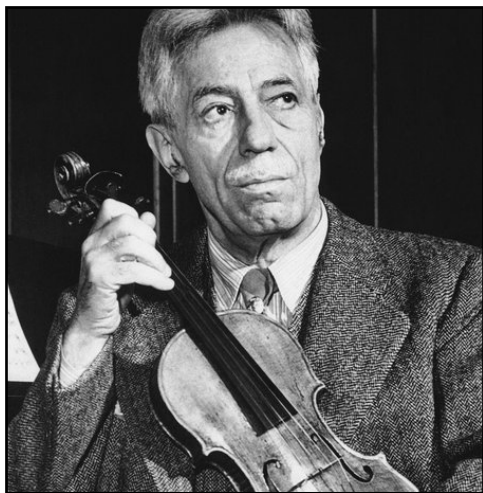


Milky Edwards and... *Moonage Daydream*

Dzieje muzyki są pełne mniej lub bardziej oczywistych mistyfikacji. Niektóre były preparowane przez samych artystów, za innymi stali dowcipni fani lub przeciwnie – anty-fani (były też takie, których źródła nigdy nie zostały w stu procentach ustalone). Na początku XX wieku austriacki skrzypek Fritz Kreisler skomponował serię

utworów, podpisał je nazwiskami m.in. Vivaldiego i Pugnaniiego, a następnie wymyślił historię o ich zaginionych kompozycjach, które przypadkowo odnalazł w europejskich bibliotekach i klasztorach. Zrobił to głównie z dwóch powodów – aby wyrobić sobie markę i zakpić z krytyków-snobów, dla których bardziej niż muzyka liczyło się sławne nazwisko. Udało mu się – osiągnął wielki sukces, grając własną muzykę podpisaną personaliami mistrzów i choć wiele utworów zupełnie nie pasowało do ich stylu, nikt się nie połapał. Kreisler przyznał się do szwindła dopiero po 30 latach, a jego wyznanie trafiło na pierwsze strony gazet.

Podobna historia wydarzyła się w 1933 roku. Francuski kompozytor Marius Casadesus opublikował wówczas nuty do tak zwanego **Adélaïde Concerto** – dziełka na skrzypce i fortepian, stworzonego rzekomo na podstawie rękopisu samego Mozarta, który miał popełnić ów utwór w wieku zaledwie 10 lat w hołdzie dla córki Ludwika XV. Kompozycja trafiła nawet do



Fritz Kreisler



katalogu Köchela, kompilującego twórczość Mozarta. Podejrzenia wzbudzał fakt, że Casadesus nie chciał nikomu pokazać rzeczonego rękopisu, a jak można się domyślić, chętnych było wielu. Wątpliwości wysuwali zarówno krytycy, jak i kompozytorzy, ale Casadesus dopiero w 1977 roku – prawie pół wieku później – oficjalnie oznajmił, że to on sam jest autorem **Adélaide Concerto**. Co ciekawe, Marius i jego brat Henri, również kompozytor, byli także autorami utworów przypisywanych Bachowi i Handelowi. Wygląda więc na to, że skłonność do nabierania mieli we krwi.

Mistyfikacje w świecie muzyki poważnej wydają się niewinne przy blagach dokonywanych na polu kultury popularnej.

W roku 1969 w magazynie Rolling Stone ukazała się napisana przez Greila Marcusa i Bruce’a Miroffa recenzja płyty grupy The Masked Marauders, stworzonej rzekomo przez Boba Dylana, Micka Jaggera, Johna Lennona i Paula McCartneya. W rzeczywistości zespół i album były całkowicie fikcyjne, zaś tekst stanowił satyrę na zjawisko popularnych wówczas supergrup. Pomimo jawnie żartobliwej treści i sugerujących zgrywę informacji (McCartney grający jednocześnie na basie i pianinie, Jagger śpiewający utwór zatytułowany **I Can't Get No Nookie** itp.) wielu czytelników uwierzyło w każde słowo napisane przez dowcipnych dziennikarzy. Do redakcji zaczęły napływać listy z gorączkowymi pytaniami o datę premiery. O płytę pytali nawet menadżerowie Dylana i Beatlesów. Co więc zrobili Marcus i Miroff? Wynajęli mało znanych kalifornijskich muzyków i za-

płacili im, żeby nagrali piosenki (zarówno covery, jak i oryginalne kompozycje), które później sprzedano wytwórni Warner. Album ukazał się w listopadzie 1969 roku i rozszedł w zawrotnej liczbie 100 tysięcy egzemplarzy. Do każdej płyty dołączono recenzję, od której wszystko się zaczęło, oraz dodatkowy tekst wyjaśniający.



The Masked Marauders *Duke Of Earl*

W 1979 roku na potrzeby komediowego programu **The T.V. Show** zawiązano zespół Spinal Tap. Skecz z udziałem grupy – wideoklip do piosenki **Rock and Roll Nightmare** – został napisany przez Roba Reinerja oraz Michaela McKeana, Christophera Guesta i Harry’ego Shearera, trójkę aktorów występujących w rolach fikcyjnych muzyków. Pięć lat później formacja stała się trzygłowym bohaterem wyreżyserowanego przez Reinerja mockumentu **This Is Spinal Tap**, opowiadającego o trudach życia w trasie koncertowej. Zabawnemu filmowi towarzyszył oficjalny soundtrack z piosenkami zespołu. Pomimo licznych wskazówek, że to żart (jak na przykład historia perkusistów, którzy ginęli w tajemniczych okolicznościach typu samospalenie lub zadławienie cudzymi wymiocinami), większość widzów była przekonana, że Spinal Tap istnieje naprawdę. Co ciekawe, fikcja dogoniła rzeczywistość – zespół doczekał się tak wielu prawdziwych fanów, że z powodzeniem wydawał płyty i występował na scenie, bez problemu wypełniając koncertowe areny. Formułę filmu Re-



Spinal Tap

inera do pewnego stopnia powtórzył Petr Zelenka, reżyserując w 2002 roku **Rok diabła**.

Jednym z największych hochsztaplerstw popkultury był taneczny duet Milli Vanilli powołany do życia pod koniec lat 80. przez niemieckiego producenta Franka Fariana. Oficjalnie grupę tworzyli Robert „Rob” Pilatus i Fabrice „Fab” Morvan – dwaj urodziwi, ciemnoskórzy młodzieńcy. Ich sukces był niemal natychmiastowy. Wydana w 1988 roku w Europie płyta **All Or Nothing** i jej młodsza o kilka miesięcy amerykańska wersja zatytułowana – o ironio – **Girl You Know It's True**, sprzedały się w łącznej liczbie 10 milionów egzemplarzy. Rok później Milli Vanilli otrzymali nagrodę Grammy za najlepszy debiut. Ale za sukcesem stała paskudna prawda. Pilatus i Morvan nie posiadali absolutnie żadnych umiejętności muzycznych – nie grali

na instrumentach, nie pisali piosenek i nie śpiewali, a na koncertach posługiwali się playbackiem. Wszystkie kompozycje zostały nagrane w studiu przez trójkę profesjonalnych muzyków. Kiedy Rob i Fab zaczęli naciskać Fariana, żeby na następnym albumie pojawiły się ich wokale, producent w odwecie wyjawiał światu prawdę. Wybuchł skandal, posypały się procesy sądowe, a skompromitowany duet musiał zwrócić Grammy. Później obaj panowie próbowali wskrzesić załamaną karierę, ale bez powodzenia. Najsmutniejszy los spotkał Pilatusa – po nieudanych próbach samobójczych oraz odsiadce w więzieniu, w 1998 roku zmarł na skutek przedawkowania narkotyków.



Milli Vanilli

Girl You Know It's True



Rozwój technologii znacznie ułatwił tworzenie coraz bardziej skrupulatnych kantów i w konsekwencji utrudnił oddzielenie prawdy od fałszu. To przypadek duetu Daft Punk, który wyjątkowo często jest bohaterem rozmaitych fałszywek, dotyczących głównie występów na żywo. Jeden z fanów-dowcipnisiów samodzielnie zrobił plakat festiwalu Coachella i umieścił na nim Francuzów jako headlinera imprezy. Jeszcze dalej posunął się ktoś, kto zarejestrował domenę Glastombury.co.uk imitującą oficjalną stronę słynnego festiwalu i podającą, że Daft Punk będzie gwiazdą piątkowego wieczoru (początkowo mało kto zauważył, że w nazwie witryny jest litera „m” zamiast „n”). Skrajnym przypadkiem było oszustwo polegające na sprzedaży biletów na fikcyjny występ francuskich producentów w Szanghaju w 2009 roku. Niestety za prawdziwe pieniądze. Do dziś nie wiadomo też

z całą pewnością, czy Thomas Bangalter i Guy-Manuel de Homem-Christo nie stoją za projektem The Third Twin, który wypuścił do sieci półamatorski, odrzucony soundtrack do filmu ***Tron: Legacy***. Oficjalnie zespół tworzą bliźniacy spokrewnieni z Guy-Manuelem, ale kto wie, jak jest naprawdę?

Wątpliwości nie ma co do postaci niejakiego Marvin Pontiac. W 1999 roku ukazał się album ***The Legendary Marvin Pontiac: Greatest Hits*** z utworami szerzej nieznanego muzyka bluesowego. Dołączona do płyty wkładka zawierała notkę biograficzną Pontiac – rzekomo urodzonego w 1932 roku Afrykańczyka żydowskiego pochodzenia, którego muzyka nie została wydana za jego życia z powodu konfliktów z show-biznesem, i którego karierę przerwało śmiertelne potrącenie przez autobus – oraz pełne entuzjazmu opinie prominentnych osobistości muzycznej sceny, w tym Davida Bowiego, Iggy'ego Popa



Daft Punk





The Legendary Marvin Pontiac

Greatest Hits

i Leonarda Cohena, którzy przyznawali się do inspiracji muzyką Pontiac. Prasa i słuchacze byli przekonani, że ów bluesman faktycznie istniał, tymczasem cała sprawa okazała się zgrabną manipulacją nowojorskiego muzyka i aktora Johna Lurie. Kiedy prawda wyszła na jaw, krytykowano go za przedstawienie Pontiac jako człowieka chorego psychicznie i, rzecz jasna, za wyprowadzenie w pole krytyków i fanów. Rzeczywiście – ktoś, kto nabrał się na utwór pod tytułem **Pancakes** („Naleśniki”), mógł poczuć się jak głupek.



Marvin Pontiac

Pancakes

W podobnym tonie utrzymana była historia Platinum Weird, „zaginionego” zespołu rzekomo tworzonego przez Dave’a Stewarta (Eurythmics) i tajemniczą wokalistkę Erin Grace. W 2006 roku wytwórnia Interscope opubliko-

wała album **Make Believe** z „nowymi” wersjami piosenek zespołu, gdzie partie Grace zaśpiewała Kara DioGuardi. Równolegle w sieci pojawiły się podrabiane strony zawierające sfabrykowane informacje i fotomontaże, zaś stacja telewizyjna VH1 wyświetliła półgodzinny mockument, w którym o zespole i Erin wypowiadały się takie tuzy jak: Mick Jagger, Elton John, Ringo Starr i Annie Lennox. Wszystko zaczęło się, gdy DioGuardi i Stewart mieli napisać kilka piosenek dla The Pussycat Dolls. To, co wyszło spod ich rąk, brzmiało jak nieco udziwnione dokonania Fleetwood Mac, zdecydowali więc, że wydadzą je pod szyldem Platinum Weird. Aby zwiększyć zainteresowanie płytą, twórcy wymyślili historię o tym, jak to w latach 70. Stewart poznał Grace i nagrał z nią kilka piosenek, po czym wokalistka zniknęła z chłopakiem Eltona Johna(!). Wiele lat później DioGuardi miała rozpoznać Grace w swojej ekscentrycznej nauczycielce śpiewu. Aby oddać jej hołd, postanowiła nagrać ze Stewartem przeróbki jej utworów z dawnych lat. Historia trochę jak z kapitalnego filmu **Searching for Sugar Man** – tyle tylko, że całkowicie zmyślona.

Przykłady można mnożyć: **Putting Ketchup in the Fridge**, czyli niepublikowana piosenka Radiohead (w rzeczywistości utwór **Sit Still** Christophera Stoby); **Strobe Light**, czyli darmowa płyta Nine Inch Nails nagrana z Timbalandem, Jayem-Z, Bono, Sheryl Crow, Justinem Timberlake’em i Maynardem Jamesem Keenanem (złośliwy primaaprilisowy żart samego Trenta Reznora); **Nite Daze**, czyli demo Salem (tak naprawdę „eksperyment społeczny” studentki New York University); Evelyn Evelyn, czyli

duet sióstr syjamskich (upiorny projekt Amandy Palmer i Jasona Webleya); grunge'owy slang (odzywki wymyślone na poczekaniu przez recepcjonistkę Sub Pop Records); Billy Tipton, utalentowany jazzman (istniał, a raczej istniała, bo była kobietą i na tym polegało jej matactwo)); wpływ utworu **Christianity Is Stupid** Negativland na seryjnego mordercę (kontrowersyjny chwyt marketingowy); album **Demos and Bootlegs** Nirwany (zbiór mało znanych utworów anonimowych zespołów); Deux Filles, dwie kobiety tragicznie naznaczone przez los, a później zaginione (w rzeczywistości byli to dwaj brytyjscy muzycy płci męskiej, pozujący do zdjęć z makijażem i w damskim przebraniu). Wreszcie – sfingowana śmierć Tupaca, który ponoć żyje i ma się dobrze.

Czasami bywa jednak odwrotnie – autentyczne zjawiska są brane za szachrajstwa. Tak było w przypadku The Feminine Complex, praktycznie nieznanego poprockowego girlsbandu z lat 60. Kiedy w 1996 roku wydano reedycję **Living Love**, jedynego longplaya zespołu, wielu krytyków okrzyknęło ją

humbugiem, za którą stoi grupa żartow-nisiów próbujących podrobić brzmienie z epoki. Jeden z recenzentów nie mógł uwierzyć, że tak dobry zespół mógł pozostać nieznany i tym samym dołączył do chóru przekonanych o szwindlu na dużą skalę. Tymczasem zdeterminowani fani nie tylko odnaleźli prawdziwe zdjęcia dziewcząt, ale nawet dotarli do ludzi, którzy trzydzieści lat wcześniej byli na koncertach The Feminine Complex.



The Feminine Complex

I've Been Workin' On You

Może więc Milky Edwards naprawdę istniał i nagrywał elektryzujące covery utworów Bowiego, które w swoim czasie nie zyskały należnego im rozgłosu? Może okładka jest podrabiana, ale muzyka prawdziwa? A jeśli to fałszywka, kto za nią stoi? Tom Jones? Mark Ronson? Krzysztof Krawczyk? Ostatecznie nie ma to chyba większego znaczenia. Muzyka broni się sama.

Maciej Kaczmarski



The Feminine Complex

Stardust Memories

r o z m o w a

Czy nazwa Waszej grupy nawiązuje do filmu Woody'ego Allena *Stardust Memories*, który został przetłumaczony na Polski jako *Wspomnienia z gwiazdnego pyłu*?

Magdalena Jobko: Tak, chodzi dokładnie o Allena. Nie ukrywam, że jestem jego wielką fanką. Na samym początku, gdy zaczęliśmy wspólnie grać, próbowaliśmy wymyślić jakąś chwytliwą nazwę dla naszego zespołu, ale robiliśmy to trochę na siłę. Kiedyś, gdy siedziałam w domu, nagle przypomniał mi się film ***Stardust Memories*** i pomyślałam, że to jest właśnie to. Od początku naszego istnienia założyliśmy sobie, że będziemy grali covery, więc to, że zapożyczyliśmy też nazwę naszej grupy z powstałego już dzieła, idealnie wpisuje się w naszą twórczość.

No właśnie, na Waszej minipłyty znajdziemy covery innych grup i artystów (m.in. Lykke Li, White Stripes, Wolfmother). Dlaczego zdecydowaliście się na taki krok i nie wydaliście własnego materiału?

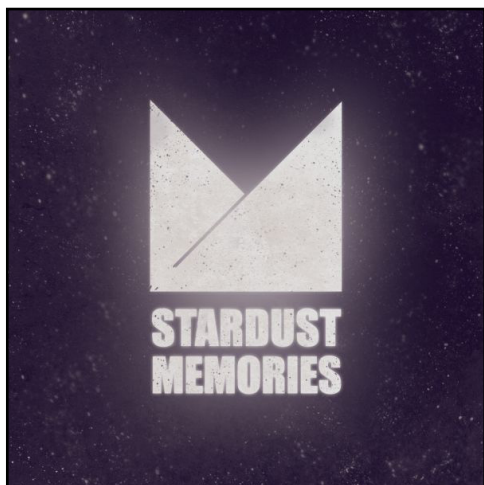
Na samym początku spotykaliśmy się głównie towarzysko i graliśmy piosenki, które wspólnie znaleźmy i lubiliśmy. Nie myśleliśmy wtedy o tym, żeby wspólnie nagrywać materiał. Jedną z prób zarejestrowaliśmy na dyktafonie i stwierdziliśmy, że brzmi to całkiem smacznie. Nasze covery nie przypominały oryginalnych wersji i pomyśleliśmy, że właśnie tą drogą chcemy pójść. Tak przerabiał utwory, żeby tchnąć w nie nowe życie. Nie chcieliśmy odgrywać wszystkiego

nuta w nutę. Wtedy byśmy skończyli chyba jako zespół weselny...

Czy na koncertach też gracie tylko covery?

Na razie tak, ale niedługo weźmiemy się za swój własny repertuar i na żywo będzie można usłyszeć coś więcej. Póki co, na koncertach gramy około 16 kawałków, wśród których są oczywiście piosenki, które nie znalazły się na naszej EP-ce. Są to m.in. przeróbki The Kills czy The Coasters. Jest też nawet jedna polska piosenka, ale żeby przekonać się jaka, trzeba paść na nasz występ.

Wasza EPka jest dostępna za darmo. Czy traktujecie płyty tylko jako element promocji i nie myślicie nawet, żeby na nich zarobić?



Stardust Memories

EP





W Polsce ogólnie ciężko jest wyżyć z muzyki. My jesteśmy na takim etapie, że chodzi nam przede wszystkim o dotarcie z tym, co robimy, do szerszego grona odbiorców. Chcemy, żeby ludzie nas poznali, przyszli na koncert, porozmawiali z nami i przede wszystkim dobrze bawili się, słuchając Stardust Memories. Nie zależy nam na pieniądzach, chociaż wiadomo, że kiedyś byłoby fajnie sprzedać ileś tam płyt i trochę na tym zarobić. Nie jest to jednak nasz priorytet. Niektórzy muzycy z naszego składu grają też w innych zespołach i tam udaje im się zdobyć trochę kasy – raz więcej, raz mniej. Naszą ideą jest przede wszystkim samo granie.

Określacie siebie jako zespół grający dark country? Jak definiujecie ten gatunek?

Gdzieś tak przed rokiem zastanawialiśmy się wspólnie, w jaki sposób się określić. W gatunkach takich jak folk, country czy alternatywa mieści się tak dużo rzeczy,

że jeśli powie się komuś „ta kapela gra alternatywną muzykę”, to właściwie nie powie się nic. Stwierdziliśmy, że charakterystyczne dla Stardust Memories pogłosy kojarzą się dość mrocznie, a do tego inspirowe nas też country i blues, stąd określenie dark country pasuje do nas chyba najlepiej.

Czy teraz koncentrujesz się głównie na śpiewaniu w Stardust Memories, czy może bierzesz udział jeszcze w jakimś innym projekcie?

Razem z Kubą Jusińskim z zespołu Magnificent Muttley oraz perkusistą Ambassadors – Tomkiem Bartnikiem – założyliśmy przed dwoma miesiącami nowy projekt o nazwie Deerography. Ale to dopiero nasze początki. Niedługo puścimy w eter pierwsze utwory. Inspirujemy się głównie Queens Of The Stone Age, więc jest to całkowicie coś innego niż Stardust Memories.

Rozmawiał: Kamil Downarowicz

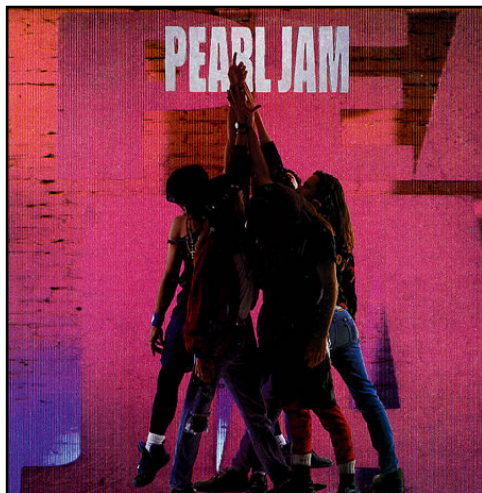
Jeremy przemówił

Pearl Jam powrócił w październiku z nową płytą. Dziesiąty studyjny album legendarnych grunge'owców z Seattle pt. **Lightning Bolt** pokazuje, że zespół jest w dobrej formie i nadal go stać na nagrywanie wyjątkowych rzeczy. Ale w czasie, kiedy wszyscy rozpisują się na temat najnowszego dzieła Amerykanów, my idziemy pod prąd i sięgamy do genezy utworu, który wywindował Pearl Jam na szczyty rockowych list przebojów. **Oto historia Jeremy'ego.**

Jest rok 1992. Pearl Jam jest już po premierze krążka **Ten** i zdecydował się właśnie na wypuszczenie trzeciego singla promującego debiutanckie wydawnictwo. Wybór padł na niewinnie brzmiący tytuł **Jeremy**. Do utworu nakręcono teledysk, który stał się z miejsca najbardziej popularnym obrazem w całej dotychczasowej historii grupy i zdobył wiele branżowych nagród. Reżyserią zajął się Mark Pellington, a historia przedstawiona w wideoklipie mówi o młodym chłopaku, któremu przyszło dorastać w wyjątkowo trudnych warunkach. W domu krzyki, przemoc i brak zainteresowania rodziców, w szkole śmiechy, wyzwiska i wytykanie palcami dziwnego, zamkniętego w sobie rówieśnika. Ucieczkę amerykański nastolatek znalazł w śmierci. Nie jest

to, niestety, scenariusz wymyślony przez Pellingtona.

Pisząc słowa do utworu **Jeremy** Eddie Vedder, wokalista Pearl Jam, inspirował się wydarzeniami, które



Pearl Jam

Ten





miały miejsce w 1991 roku **w stanie Teksas**. To właśnie wtedy 16-letni Jeremy Wade Delle popełnił samobójstwo, strzelając do siebie z pistoletu w szkolnej klasie wypełnionej uczniami, którzy właśnie uczyli się gramatyki na lekcji angielskiego. „Jeremy przemówił” – śpiewa Eddie.

Jeremy Wade Delle przyszedł na świat w 1975 roku. Od najmłodszych lat był cichym, skrytym w sobie chłopcem. Ci, którzy go znali, określali jego osobowość jako neurotyczną. „Wyglądał, jakby był cały czas strasznie smutny” – mówili jego rówieśnicy. Wrażliwy dzieciak był łatwym atakiem dla szkolnych kolegów, którzy z lubością się nad nim pastwili. Psychiczna kondycja Jeremy’ego miała oczywiście swoje źródło.

W 1979 roku rodzice chłopca rozwiedli się po latach małżeńskich awantur, w których dochodziło do rękoczynów. Żaden z opiekunów nie starał się nawiązać kontaktu z dzieckiem. Jeremy był dla rodziców zbędnym balastem i niechcianą „pamiątką” po nieudanym związku.

Jedyną prawdziwą przyjaciółką nieśczęśliwego dziecka była Lisa Moore, która tak mówiła o tej znajomości: „Jeremy zwierzał mi się ze swoich rozterek życiowych. Pisaliśmy do siebie liściki, które kończył zawsze słowem «odpisz». Tego dnia, kiedy się zabił, napisał «do niezobaczenia»”.

8 stycznia 1991 był ostatnim dniem w życiu Jeremy’ego. To właśnie wtedy postanowił ostatecznie rozwiązać

swoje wszystkie problemy. Magiczną różdżką, która miała uwolnić go od cierpienia, okazał się Magnum 357. Chłopak na oczach ponad trzydziestoosobowego zbiorowiska uczniów i nauczycielki nacisnął spust, celując w swoją własną głowę. Scenę śmierci odtworzył w teledysku do utworu „Jeremy” Pearl Jam.

„Napisałem tekst piosenki w nocy. Tuż po tym, jak przeczytałem o tej tragicznej historii w gazecie. Zastanawiałem się, dlaczego tak się stało? Dlaczego 16-letni dzieciak, przed którym było jeszcze całe życie, to zrobił” – mówi o genezie powstania tekstu do **Jeremy’ego** Eddie Vedder. „Chciałem nadać temu wydarzeniu dodatkowe znacze-

nie, żeby było przestrożą dla innych, nauką” – dodaje frontman. Vedderowi zależało, aby młodzi ludzie rozumieli, że nie warto się poddawać złemu losowi. Najlepszą zemstą jest żyć i udowodnić sobie, że jest się coś wartym. Trzeba być silniejszym od ludzi, którzy napełnili nasze serca goryczą.

Po latach ten przekaz nadal poraża swoją siłą. Emocjonalny śpiew Eddiego wpisany w specyficzną gitarową melodię trafia w gusta kolejnych pokoleń. Kto wie, może ten utwór uratuje komuś życie? A może już to zrobił? Może śmierć Jeremy’ego nie poszła na marne?

Kamil Downarowicz

Czytasz za darmo?

Wyślij SMS-a

Nie mamy nic przeciwko darmowemu przesyłaniu znajomym numerów naszego pisma! Jeśli jednak posiadasz ten numer z takiego źródła, a uważasz, że jest on wart swojej ceny - zapłać ją! **To tylko 1.23 zł**, a pozwala nam kontynuować i rozwijać naszą działalność.

Wyślij **HPAY.ALTERPOP** na numer **7155** (1.23 zł)



PREMIERY *filmowe*

#thriller #kryminal

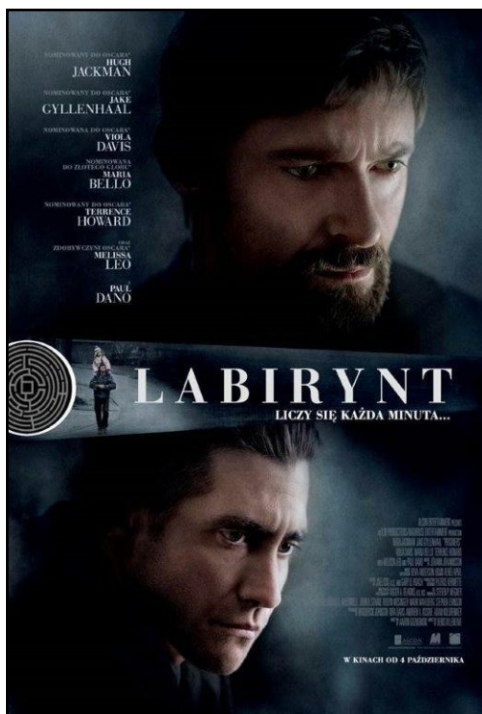
reż. Denis Villeneuve

Labirynt

Polski tytuł tego filmu dość dobrze oddaje jego klimat – to mroczny, wciągający thriller, pełen niejednoznacznych tropów, niepewnych poszlak i gąszczy zagadek. Jednak oryginalny tytuł trzeba mieć w pamięci – ***Prisoners*** – ponieważ więźniem jest tu niemal każdy z bohaterów. Więźniem wewnętrznych demonów.

Fabula wydaje się prosta – w tajemniczy sposób w małej miejscinie zaginęły dwie dziewczynki. Policja pod dowództwem detektywa Lokiego poszukuje winnego. Gdy poszukiwania się przeciągają, a jedyny podejrzany zostaje wypuszczony, ojciec jednej z dziewczynek postanawia wziąć sprawę w swoje ręce.

Od fabuły ważniejsza jest jednak atmosfera narastającej psychozy. Każdy bohater ukrywa nieciekawą przeszłość, a w niejednym domu siedzi jakiś trup w szafie. Pozory mogą zmylić najwytrawniejszego detektywa, a rozwiązanie dochodzenia nie przynosi satysfakcji.



#biograficzny #dramat

reż. **Andrzej Wajda**

Wałęsa. Człowiek z nadziei

Ten film nie powinien być powstać teraz. Nie w momencie, gdy może zostać oceniony przez żyjącego jeszcze bohatera, a scenarzyście i reżyserowi włącza się automatycznie cenzura.

Stało się to w przypadku **Wałęsy. Człowieka z nadziei**, odartego z jakiegokolwiek kontrowersji, a co dopiero dyskusyjności. Nowy film Wajdy nie wychodzi poza szablonowość jego kilku ostatnich dokonań. Powtarza w nim ograne stereotypy, opakowując je w banalną formę. Nawet tytułowa rola Roberta Więckiewicza nie ratuje tego celuloidowego pomnika. Oczywiście nawiązania do **Człowieka z marmuru** i **Człowieka z żelaza** są żenujące, bo tym mocniej ujawniają słabość **Wałęsy**.

Z drugiej strony można docenić pomysłowość w odtwarzaniu PRL-owskich realiów oraz niezwykle trafny dobór muzyki, na którą składają się najbardziej wymowne utwory podziemnej sceny punkowej.

#komedia

reż. **Anthony Marciano**

Wieżni chłopcy

Typowa francuska komedia romantyczna? Tak, ale z polotem i delikatnym twistem fabularnym. Młodzieniec (Thomas) poznał swoją miłość (Lola) i poprosił ją o rękę. Już mieli żyć długo i szczęśliwie, gdy do gry wkroczył ojciec ukochanej (Gilbert).

Przyszły teść na wieść o planach małżeńskich swego dziecka postana-



wia odzyskać dawną wolność. W tym celu wciąga do swojego projektu Thomasa, ujawniając mu przy okazji prawdę o skutkach żeniaczki dla mężczyzny – że zamienia się on w kanapowca i pantoflarza. Dlatego umyślnie nęci go kawalerskim życiem i wszystkimi jego przyjemnościami.

Dość ciekawy pomysł scenarzystów, do tego parę zabawnych sytuacji i dobrze dobrani aktorzy. W sam raz, aby umilił sobie jesienny wieczór.

#dramat #czarno-biały

reż. Paweł Pawlikowski

Ida

Pawlikowskiego lubię za **Lato miłości**, które widziałam przynajmniej dwa razy. Doceniam jego wysiłek, aby mimo polskiego pochodzenia robić bardzo dobre kino za granicą. W Wielkiej Brytanii zdobył już sławę, dlatego cieszy mnie, że postanowił zrobić film w ojczyźnie i pokazać go jak największej widowni.

Ida nie jest typowym polskim obrazem rozrachunkowym. Więcej w niej dystansu i chłodnego przyglądania się bohaterom. Tym, co w niej urzeka, obok świetnych zdjęć, jest prostota czarno-białej taśmy. Dawno nikt tak nie posłużył się w kinie czernią, bielą i odcieniami szarości.

Pawlikowski ma też smykałkę do kobiecych bohaterek i grających je aktorek. Zarówno debiutująca u niego Agata Trzebuchowska, jak i uznana Agata Kulesza znakomicie kreują swoje postacie. Swoje pięć minut ma także Dawid Ogrodnik. Zdecydowanie warto zainteresować się tym filmem.



Skala ocen:

God must have been a fuckin' genius

I just met a wonderful new man.
He's fictional but you can't have everything

My mum always said,
life is like a box of chocolates

I love you, honey bunny!

May the Force be with you

Too weird to live, and too rare to die

Coco Jumbo i do przodu

Huston, we've got a problem

**

Ja tu widzę niezły burdel

*

Albercik! Wychodzimy!

#science-fiction #dramat

reż. **Alfonso Cuarón**

Grawitacja

O **Grawitacji** Cuaróna napisano już wszystko, internet pełen jest recenzji zachwyconych krytyków i blogerów, którzy wystawiają filmowi maksymalne noty. Od czasu do czasu zdarzają się jednak przypadki sarkania na zbyt płytką fabułę czy obsadzenie w rolach głównych Sandry Bullock i George'a Clooneya. Być może dla filmu byłoby lepsze zatrudnienie mniej znanych twarzy, ale z drugiej strony to nazwiska aktorów często przyciągają do kin.

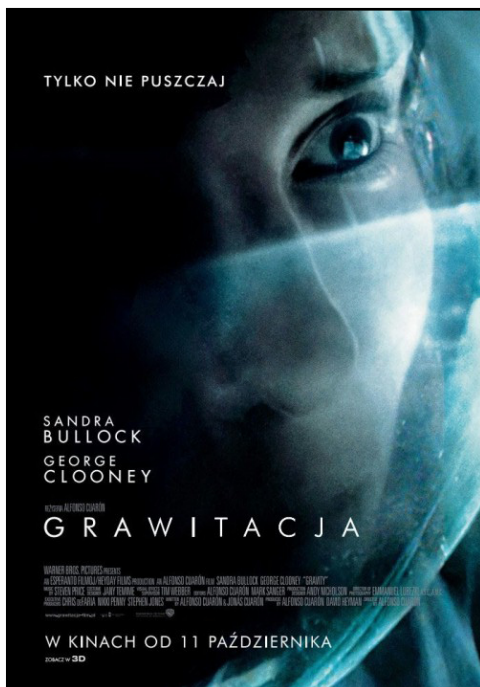
Problemem filmu jest to, że mimo świadomie podjętego wątku „filozoficznego” człowieka wobec kosmosu, rozwiązania, jakie proponuje, są na poziomie twórczości Coehlo. Z jednej strony jest to plus, bo zachęci niewybredną część widowni do wizyty w kinie, ale też i może zrazić tych, którzy mają nieco większe wymagania. Pytanie „czy warto?” pozostawiam osobistej decyzji kinomana.

#komediodramat #niepełnosprawność

reż. **Maciej Pieprzyc**

Chce się żyć

Nowy film Pieprzycy nie ma poprzedników w polskim kinie, ponieważ niepełnosprawność nie jest u nas uznawana za temat warty podejmowania. Mimo to nie sposób nie wspomnieć w tym miejscu o oszałamiającym sukcesie filmu **Nieetykalni**, który trudną kwestię ułomności podjął szcunkiem, ale i przymrużeniem oka.



Tą drogą podążył Pieprzyca, pokazując, jak godność człowieka objawia się nie tylko w heroicznym zmaganiu się z codziennością. Główny bohater, Mateusz, grany przez Dawida Ogrodnika, mimo swojego kalectwa zachowuje poczucie humoru i dystans do świata. Chce być zrozumianym i kochanym, ale nie czaruje siebie niepotrzebną nadzieją. W ten kontekst świetnie wpisują się role wspomnianego Ogrodnika i debiutującego Kamila Tkacza, który wcielił się w rolę małego Mateusza. O tym filmie trudno zapomnieć.

#dramat #związki homoseksualne

reż. Abdellatif Kechiche

Życie Adeli – Rozdział 1 i 2

Życie Adeli nie wszystkim przypadnie do gustu. Nie każdy wytrzyma trzy godziny w fotelu kinowym. Nie do każdego przemówi także podjęty przez Kechiche temat. A nie należy on bynajmniej do mało atrakcyjnych, ponieważ współczesny świat lubi nieco kontrowersyjne, przyprawione szczyptą pikanterii historie. Gdyby jednak ten tunezyjsko-francuski reżyser poszedł tropem **Pięćdziesięciu twarzy Grey'a**, tłumy szturmowałyby sale kinowe.

Opowiedział jednak historię zupełnie inaczej, niż oczekiwaby tego publiczność. Poruszając piękny, lecz trudny temat miłości między dwiema młodymi kobietami, uwikłanymi w społeczne konwenanse, maksymalnie skupia się na ich osobistej historii. Celebrytuje ich uczucie na każdym możliwym poziomie, stosując długie zbliżenia na twarze bohaterek, pełnych skrywanych emocji i pragnień. Film Kechiche jest



idealną propozycją dla osób lubiących pełne intymności kino.

#komedia #hitlerowcy

reż. **Juliusz Machulski**

AmbaSSada

Machulski miał fajny pomysł. Wyszedł z założenia bliskiego Quentinowi Tarantino przy tworzeniu **Bękartów wojny** – o wojnie można mówić z dowcipem. Niestety, motyw podróży w czasie i spotkania współczesności i przeszłości w jednej kamienicy położyło totalnie kiepskie wykonanie.

Powodów tego stanu rzeczy jest kilka. Od drętwych dialogów w początkowych sekwencjach filmu, po źle dobraną obsadę w całości. Oprócz kilku perełek, w tym Roberta Więckiewicza, który w roli rubasznego Hitlera sprawdza się doskonale, żaden z aktorów nie wybija się ponad przeciętną. Także sama reżyseria jest raczej drugorzędna. Ani się tu pośmiać, ani refleksja nie najdzie.

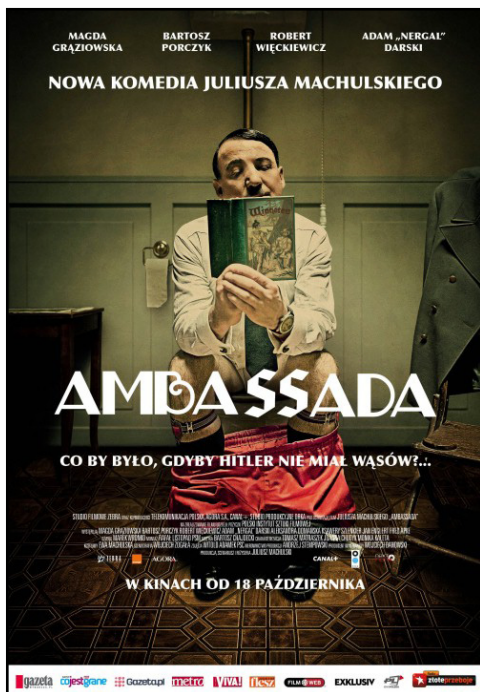
#akcja #sensacja #kryminal

reż. **Brad Furman**

Ślepy traf

**

Szybko, głośno i oślepiająco – tak działa **Ślepy traf**. Kolorowa wydmuszka, która przy lekkim dotknięciu kruszy się i rozpada. Po dość dobrym **Prawniku z Lincolna** kolejna odśłona reżyserskich zdolności Brada Furmana nie powala. Jeśli tam liczyła się w jakikolwiek sposób fabuła, tak tu pozostają ładne widoczki na Karaiby i figura Gemmy Arterton.



Nawet jeśli reżyser porusza nośny temat internetowego hazardu, robi to w tak stereotypowy sposób, że uwłacza inteligencji kinomana. Mało kto da się nabrać na banalne i do tego źle wykonane chwytły gatunkowe kryminału. Samo obsadzenie w głównej roli Justina Timberlake'a było fatalnym pomysłem. Jego gra nie ociera się nawet o aktorstwo.

#akcja #oldschool

reż. **Robert Rodriguez**

Maczeta zabija

W dzisiejszych czasach **oldschool** może dotyczyć rzeczy zaledwie sprzed kilku sezonów. Takie sprawia wrażenie seria o Maczecie, rozpoczęta fałszywym zwiastunem, który był zgrywą przed dylogią **Grindhouse**.

Nie ma co się oszukiwać, że druga część przygód Meksykanina wnosi coś pionierskiego do kin – jest po prostu potężną dawką zabawy oraz kopalnią motywów zaczerpniętych ze znanych tytułów filmowych, które już czasami są właśnie takim **oldschoolem**. Rodriguez odwołuje się nie tylko do innych, ale cytuje też sam siebie. Parodiuje, jest szyderczy i satyryczny, gra skojarzeniami, jakie przychodzą do głowy na widok niektórych aktorów i twarzy pojawiających się na ekranie. A jest ich tyle, że nie sposób wymienić wszystkich w jednej krótkiej recenzji.

Intencja, jaka mu przyświecała podczas pracy nad **Maczetą**, jest widoczna gołym okiem – dać szczerą rozrywkę swoim fanom, a reszta niech idzie do diabła!

Opracowała: Karolina Joisan



PREMIERY *książkowe*

#fantastyka #science fiction

Orson Scott Card

Gra Endera

Przed wybraniem się do kina na ekranizację książkowych hitów warto sobie je odświeżyć. Nigdy nie wiadomo, jaką wersję wydarzeń zaprezentują hollywoodzcy twórcy.

Gra Endera Orson Scott Card popełnił w wieku 26 lat. Napisał opowiadanie, które z czasem zostało rozbudowane do rozmiarów powieści stanowiącej początek dłuższego wielotomowego cyklu. Ender, główny bohater powieści, nie miał prawa się narodzić. Stało się jednak inaczej i musi się pogodzić z tym, że głównym celem jego życia jest służba państwu, a dokładniej – Ziemi. W obliczu śmiertelnego zagrożenia z kosmosu strategowie wojenni szykują się do zadania ostatecznego ciosu. I Ender ma zostać jednym z trybików całej wojennej maszyny.

Zanim jednak dojdzie do kulminacyjnego momentu, czytelnik jest świadkiem dojrzewania chłopca do podejmowania męskich decyzji. Bo nawet geniusz powinien przejść twardą szkołę życia i nauczyć się zbierać siły po najdotkliwszych potknięciach. Jest to jedna z tych książek, po lekturze których powrót do rzeczywistości zajmuje nadzwyczaj dużo czasu.



#esej #literatura brytyjska

George Orwell

Anglicy i inne eseje

Niektórych być może zaskoczy wiadomość, że George Orwell, znany głównie jako autor **Roku 1984**, gdzie rozkładał na czynniki pierwsze systemy totalitarne, pisywał również formy krótkie. Kilkanaście jego najsłynniejszych prac tego gatunku zostało zebrane w *Anglicy i inne eseje*. Przyznam, że jest to lektura tyleż zaskakująca, co interesująca.

Przede wszystkim w Anglikach... George Orwell daje się poznać z zupełnie innej strony. Pisze o wszystkim, co go interesuje – począwszy od kultury i zwyczajów panujących w Anglii, poprzez kwestie ideologiczne, na ulubionych twórcach kończąc. Nie ukrywa swoich sympatii politycznych, nie owija w bawełnę, pisze, jak jest. A przynajmniej tak, jak to widzi. Spostrzegawczość, szeroka wiedza i szczypta humoru owocuje ciekawymi tekstami przybliżającymi brytyjskie realia z czasów Orwella. Nie wszystkie teksty są równie interesujące, ale na pewno jest to pozycja warta przeczytania.

#proza polska #literatura młodzieżowa

Piotr Sender

Punkhead

**

Być młodym, zbuntowanym, szukającym celu w życiu. Przypadkiem spotkać kogoś, kto na pierwszy rzut oka jest pełnym przeciwieństwem, a mimo to znaleźć nić porozumienia i wznieść się ponad podziały ideologiczne. On – rasowy skinhead, ona – piętnastoletnia, nieśmiała pankowa. Fabuła zapowia-



dała się więc nieźle, ale w wykonaniu czegoś zabrakło. W zamyśle, powieść miała przedstawiać dylematy młodych-gniewnych, problemy wieku nastoletniego, brak porozumienia w rodzinie oraz stopniowe dojrzewanie młodzieży. Jednak **Punkhead** bardzo rozczarowuje. Jest to książka tak nijaka, że trudno nawet coś więcej o niej powiedzieć.

Po pierwszej powieści Piotra Sendera, Bóg nosi dres, wymieniano go wśród najbardziej obiecujących młodych polskich pisarzy będących pewnego rodzaju kronikarzami niewesołej polskiej rzeczywistości. Dlatego tym bardziej dziwią grafomańskie zapędy autora. Być może książkę dałyby radę przeczytać bardzo młode nastolatki, ale dla osoby z większym dorobkiem czytelniczym powieść będzie trudnym przeżyciem literackim.

#sensacja

Chris Pavone

Kobieta, której nikt nie znał

Jedno wielkie kłamstwo – tym jest życie głównej bohaterki, kobiety, której nikt nie znał. W tajemnicy przed dwójką dzieci, mężem i znajomymi, oddaje się pracy w tajnych służbach wywiadowczych. Dobrze sobie radzi do pewnego momentu. Wraz ze zmianą miasta zamieszkania życie Kate staje na głowie. Musi zająć się przyziemnymi sprawami, takimi jak wywiadowki, urządzenie nowego domu, poznawanie sąsiadów. Czy będzie potrafiła odnaleźć się w nowej roli? Szczególnie, gdy zaczyna podejrzewać, że nie tylko ona ma coś do ukrycia.

Kobieta, której nikt nie znał jest bardzo nietypową powieścią sensacyjną. Doszukiwanie się ukrytych znaczeń

Skala ocen:

Sto lat samotności

Miasto grzechu

Cień wiatru

Gra w klasy

Czas jest najprostrzą rzeczą

Moja walka...

Kronika sportowa

Paulo Coelho

**

Zegnaj laleczko

*

Czas pogardy



w zwyczajnych słowach, interpretacja zwykłych gestów – czy to już oznaki paranoi, czy jednak kobieta może ufać swojej intuicji? Autorowi udało się napisać wciągającą fabułę bez pościgów i strzelanin, budując sieć intryg oraz prezentując różnorakie sposoby manipulacji.

#proza #opowiadania

John Steinbeck

Pastwiska Niebieskie

Czy można napisać książkę o niczym i o wszystkim jednocześnie? Czy można dać się uwieść opowieści z kilkunastoma głównymi bohaterami i bez żadnych karkołomnych zwrotów akcji? Jeszcze jakiś czas temu nie potrafiłabym odpowiedzieć twierdząco. Jednak odkąd zamknęłam ostatnią stronę **Pastwisk niebieskich**, głosuję „3x tak”.

Akcja opowiadań, bo rozdziały Pastwisk niebieskich można traktować jako osobne opowiadania, rozgrywa się w pięknej żyznej kalifornijskiej dolinie. Żaden przejezdny nie pozostaje obojętny urokowi tego miejsca. Życie tutaj musi być przecież wspaniałe – wolne od przyziemnych trosk i pełne wzniosłych chwil. Ale Pastwiska nie są opisem biblijnej krainy mlekiem i miodem płynącej. Mieszkańcy doliny grzeszą, popełniają błędy, nienawidzą. A w małej społeczności najmniejsze potknięcie może urosnąć do rozmiarów katastrofy.

Proza Steinbecka jest mistrzowsko prosta. Ale sięga do głębi duszy. Dotyka zarówno spraw oczywistych, jak i ukrywanych – nawet przed samym sobą.

Opracowała: Ana Matusevič



PREMIERY *komiksowe*

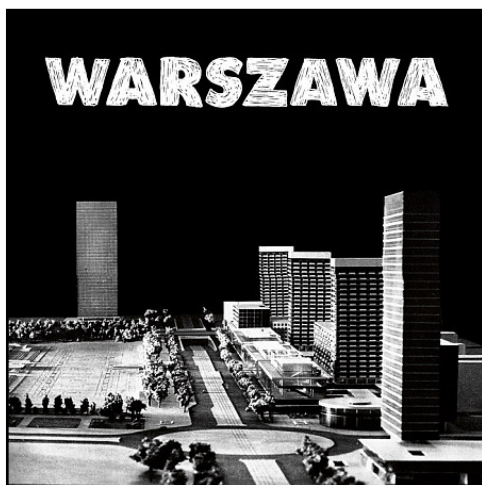
#komiks #poezja

Michał Rzecznik

Warszawa

Wydawnictwo AnTY reklamuje **Warszawę** jako „pozbawiony rysunków komiks liryczny”. Jest to bardzo trafny opis dzieła rodowitego Warszawiaka, który swój tomik rozpoczyna rozbrajającym, przewrotnym wyznaniem: „Chciałbym rysować komiksy. Ale nie umiem rysować”.

Rzecznik jest członkiem grupy Maszin, znanej z eksperymentalnych form i specyficznego poczucia humoru. **Warszawa**, która zresztą ukazała się w ramach „Kolekcji Maszina”, idealnie wpisuje się w tę konwencję. Autor opowiada o swoim rodzinnym mieście samymi słowami – w ciepły, dowcipny sposób. Tak jak wtedy, gdy prezentuje pusty kadr przedstawiający „brak Warszawy” z czasów, gdy miasto jeszcze nie istniało, lub pisze o tym, że największym utrapieniem są rowe-rzyści, którzy „jeżdżą jak chcą, pocą się, brzydko pachną i roznoszą choroby”. Moim faworytem jest wzmianka o tym, jak pierwszego dnia wojny wielu mieszkańców Warszawy zamieniło się w meble, co zwiększyło ich szanse na przeżycie – „zginęli tylko ci niewygodni albo zepsuci”.



Całości bliżej do wizualnej poezji niż tradycyjnie pojmowanej historyjki obrazkowej, a ponieważ nie ma tu rysunków (nie licząc pewnego żółwia), trzeba albo znać topografię miasta, albo umieć sobie wyobrazić to, o czym Rzecznik pisze. Portret stolicy, jaki wyłania się z jego narracji, jest słodko-gorzki i przepełniony nostalgią. **Warszawę** czyta się jednak lekko, z zaangażowaniem i uśmiechem na ustach.

#komiks #dramat

Anna Sailamaa

Pasterz

Prowincjonalne miasteczko w północnej Finlandii. Chłód, mrok, apatia, nuda i beznadzieja, z którymi walczy się wizytami w saunie i kolejnymi kieliszkami wódki. W takich realiach żyje – lub raczej wegetuje – Olavi, młody chłopak pracujący w piekarni. Na świat patrzy najczęściej przez szparę powstałą przez odpowiednie złączenie palców.

Może tak fragmentarycznie postrzegana rzeczywistość jest dla niego bardziej znośna? Żywot piekarza sprawia wrażenie monotonnego i pozbawionego celu. Pewnego dnia, spacerując po okolicy, chłopak znajduje martwego łabędzia. Widok dostojnego ptaka wywiera na nim duże wrażenie, ale jego życie nie zmienia się przez to na lepsze (bo też dlaczego by miało?). Ostatni kadr nie pozostawia wątpliwości – każdy następny dzień Olawiego będzie wyglądał podobnie – ugniatanie bułek, walka z kaczem, popijanie kawy z budki oraz rozmowy z ojcem i jego znajomymi o tym, że kiedyś było lepiej. Przygnębiającą, społecznie zaangażo-



waną treść dopełniają surowe, czarno-białe rysunki – postacie sprawiają wrażenie zdeformowanych, co ma zapewne symbolizować ich przytłoczenie jałową egzystencją.

Depresyjny klimat **Pasterza** nie każdemu przypadnie do gustu, ale nie sposób odmówić komiksowi swoistej siły i przede wszystkim uniwersalności. Ta historia mogłoby przecież wydarzyć się także w Polsce i zapewne w wielu innych miejscach na świecie, gdzie panuje marazm, bieda i bezrobocie.

#komiks #science-fiction

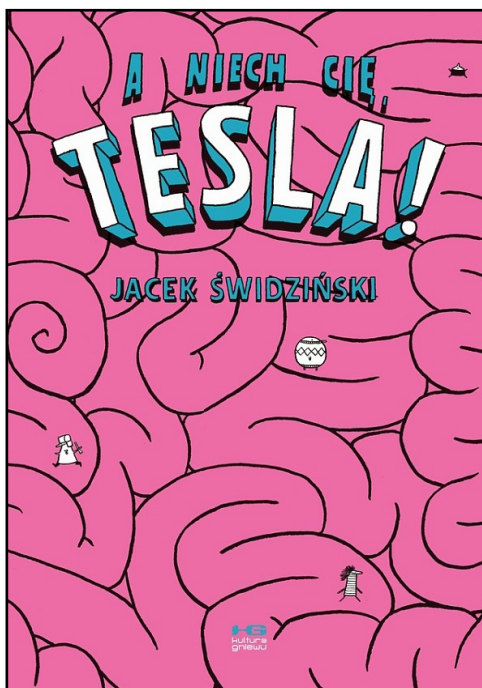
Jacek Świdziński

A niech cię, Tesla!

Jeśli **Maczuźnik** jest najciekawszym tegorocznym polskim komiksem, a **Przygody Nikogo** najlepszym, to **A niech Cię, Tesla!** jest z pewnością najzabawniejszym.

Album Świdzińskiego ukazał się w barwach Kultury Gniewu, co samo w sobie jest już rekomendacją. Znakomity, nośny tytuł i rzucająca się w oczy okładka skrywają zwariowaną opowieść. Składają się na nią cztery równoległe wątki.

Wszystko zaczyna się w bliżej niesprecyzowanej przyszłości. Dwóch pociesznych naukowców snuje historię thereminu, który tutaj został wynaleziony przez Lwa Termena na podstawie notatek wykradzionych od genialnego, choć wiecznie zapijaczonego... Nikoli Tesli. Instrument ów, podłączony do futurystycznego akceleratora, może stać się groźną bronią. Już punkt wyjściowy jest niezwykle dowcipny, a to dopiero początek.



Dalej mamy ogarniętego paranoją wyznawcę teorii spiskowych (politik, urzędnik lub prezes korporacji – generalnie ważniak pod krawatem) i jego karłowatych podwładnych, a także sowieckich szpiegów oraz stare dobre małżeństwo żyjące przyziemnymi problemami. Wszystkie te wątki zazębiają się w finale, będącym jednocześnie puentą całego dowcipu. Pastisz steampunku? Satyra na współczesność? Parodia szpiegowskiej historii? A może całkiem poważne, choć ubrane w komedię ostrzeżenie przed zbrojeniami za wszelką cenę? Niezależnie od tego, w jakich kategoriach rozpatrywać ten komiks, zabawa jest przednia.

Największym atutem albumu jest humor – abstrakcyjny, absurdalny i przede wszystkim nieśpieszny. Kreska jest bardzo prosta i przez to nieodparcie urokliwa – twórca **Tesli** wyznaje minimalizm à la Bohdan Butenko. Spotkałem się z opiniami, że każdy potrafiłby narysować coś takiego, jednak dziwnym trafem zrobił to akurat Świdziński, a nie autorzy tych opinii. Takie osoby zresztą często wbijają innym szpilki. To nie ludzie – to wilki. A niech ich Tesla!

#komiks #thriller

Daniel Gutowski, Michał Rzecznik

Maczużnik

Takiego albumu nie było na polskim rynku od dawna. Rysownik Daniel Gutowski i scenarzysta Michał Rzecznik zaproponowali dzieło odważne i dopracowane do ostatniego szczegółu. W pierwszej kolejności uwagę przykuwa forma **Maczużnika**. Już okładka zapowiada coś nietuzinkowego, ale



dopiero po otwarciu komiksu czytelnik przekonuje się, jak wyjątkowe dzieło trzyma w rękach. Do planszy pierwszego rozdziału przyklejono kopertę skrywającą list miłosny, do następnych rozdziałów – depesze z życzeniami dla młodej pary. Nadawcą listu jest Zdzisiek, adresatką zaś Hania. Bohaterów poznajemy podczas ich wiejskiego wesela, a potem akcja przenosi się o kilka, może kilkanaście lat w przyszłość, gdy są już nieszczęśliwym małżeństwem. Więcej zdradzać nie wypada.

Pomimo pewnego podobieństwa do twórczości Charlesa Burnsa styl Gutowskiego jest bardzo charakterystyczny. Rysownik balansuje na granicy realizmu i groteski, co dobrze oddaje niepokojącą atmosferę całości. Kadrowanie i kompozycja scen to majstersztyk. Choćby scena weselnego tańca – kolejne kadry to figury taneczne, które zmieniają się wraz z dalszą lekturą. Istotną rolę pełni symboliczna kolorystyka – wesele utrzymane jest w emocjonalnych tonach czerwieni, kluczowa dla fabuły rozmowa w stodole ocieka zgniłą zielenią, podsłuchiwanie owej rozmowy ukazano w szarym fiolecie i złowróżbnym granacie, a martwe życie małżeńskie mieni się chłodnymi błękitem łamanym posępną szarością.

Świetny jest również scenariusz Rzecznika – nielinearny, zaskakujący, pełen niedopowiedzeń, z obowiązkowym **twistem** i zmianami perspektywy (czyżby nawiązanie do **Rashomona** Kurosawy?). Wszystko to sprawia, że do **Maczużnika** można wracać wielokrotnie, za każdym razem odnajdując w nim coś nowego.



#komiks #abstrakcja

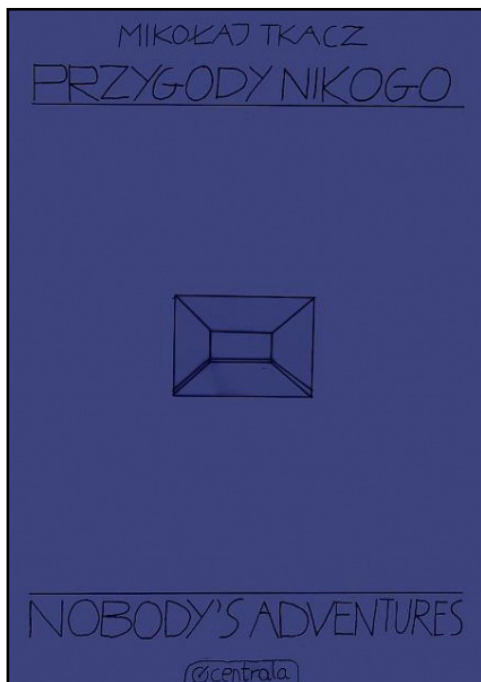
Mikołaj Tkacz

Przygody Nikogo

Pamiętacie obraz Rene Magritte'a przedstawiający fajkę i zatytułowany **To nie jest fajka**? Foucault powiedział o nim, że to idealny przykład tezy głoszącej, iż zaprzeczenie wzmaga istnienie.

Mikołaj Tkacz w swoim samodzielnym debiutanckim albumie idzie podobną drogą, realizując przy okazji założenia witkacowskiej czystej formy. Wydane w eleganckiej, twardej oprawie **Przygody Nikogo** składają się z blisko 40 stron przedstawiających całkowicie puste pokoje. Oglądamy śnieżnobiałe ściany, zaglądamy w narożniki pomieszczeń, patrzymy przez pozbawione drzwi futryny, za którymi znajdują się następne futryny, a za nimi kolejne. Widzimy długie korytarze, rozległe sufity i ciągnące się w nieskończoność podłogi. W tych ascetycznych wnętrzach i w absolutnej ciszy odbywają się przygody tytułowego bohatera. Nikt nie pojawia się w żadnym kadrze – albo, pozostając w tej niezwyklej konwencji, pojawia się we wszystkich. Bo może nie są to wcale przygody Nikogo, lecz czytelnika, który owego Nikogo szuka? Ostatecznie bowiem to odbiorca wypełnia owe puste przestrzenie swoimi skojarzeniami, wyobrażeniami czy reminiscencjami – a więc niejako sobą. Podobnie jak inne prace Tkacza, **Przygody Nikogo** imponują dojrzałością i w pewnym sensie rewolucjonizują myślenie o komiksie. Młodemu rysownikowi udało się bowiem wyjść daleko poza ramy komiksowego medium, zahaczając o rejony sztuki konceptualnej, która intryguje, porusza, zaprasza do swoistej gry. Genialny album.

Opracował: Maciej Kaczmarek



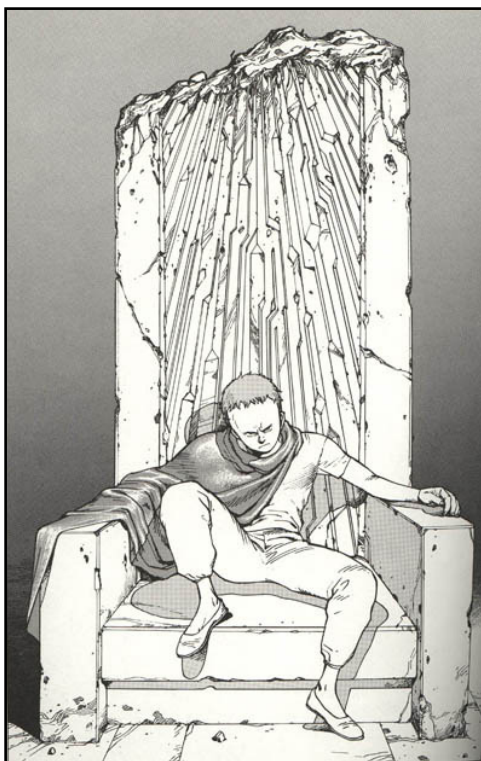
Parszywa rysowana ósemka

Literatura od wieków dostarcza zbiorowej świadomości kolejne przykłady archetypicznych potworów, którymi straszy się dorosłych i dzieci. W XX wieku rolę tę przejęło kino. Swoje trzy grosze dorzucił też komiks, ale drzemiający w nim potencjał wciąż jest niewykorzystany. Zapraszamy na subiektywny przegląd najbardziej popaprańych i przerażających postaci komiksowych.

Tetsuo (Katsuhiro Otomo, *Akira*)

Oto, co się dzieje, gdy niepowołana osoba ma w swoich rękach niemierną moc. Żadne Spider-manowe gadki o „wielkiej sile i odpowiedzialności” nie mają tutaj znaczenia. W swojej mandze Katsuhiro Otomo powołał do życia nastolatka Tetsuo, który stał się bogiem. Krwawym, nieodpowiedzialnym, a jednocześnie niezrozumianym. Nie dość, że w zasadzie doprowadza do apokalipsy i zagłady cywilizacji, to jeszcze sam znajduje się na skraju wyczerpania psychicznego. Kawał skurczybyka, który dużo rozumie, ale nie chce się do tego przyznać.

Tetsuo pojawił się w pierwszym tomie komiksu **Akira** w 1988 roku. Potem seria trafiła na wszystkie kontynenty (również do Polski), następnie zaś nakręcone zostało anime (w Polsce DVD z serialem miało premierę w 2006



Tetsuo





Deadpool

roku). Podobno Leonardo DiCaprio chce wyprodukować luźną adaptację **Akiry** w wersji amerykańskiej.

Deadpool (Marvel Comics)

Deadpool jest od pewnego czasu jedną z najbardziej popularnych postaci Marvela, ale nie można zapominać, że to kawał świra. Pod względem szaleństwa w komiksowym świecie dorównuje mu chyba tylko Joker. Jednak Deadpool poza byciem świrem, jest jeszcze w zasadzie nieśmiertelny, będąc przy tym śmiertelnie groźnym zabijaką. Do tego stopnia, że Gambit musiał go przekupić, żeby uniknąć walki.

Deadpool to duże dziecko. Potrafi uratować świat, ale i zabić niewinnych ludzi tylko za to, że wolą nową trylogię **Star Wars** od starej



Lobo



(choć nie jestem pewien, czy w tym przypadku im się nie należało).

Lobo (DC Comics)

O tym panu nie trzeba wiele pisać. Jest ostatnim Czernianinem, ponieważ własnoręcznie wymordował resztę. Po drodze polował też na Świętego Mikołaja i Króliczka Wielkanocnego. Nie lubi pingwinów, a kiedy zginął, to zrobił w zaświatach taką rozpierduchę, że go wywalono i uczyniono nieśmiertelnym (w ten sposób nadał pojęciu „piekło” zupełnie nowe znaczenie). Aha, czy wspomniałem o tym, że kiedyś zapił

się na śmierć i został przerobiony na LoboCopa? W swoim CV ma jeszcze pojęmanie Supermana (w serialu animowanym) oraz dołączenie po jego śmierci do Justice League of America (wbrew pozostałym członkom). Bez wątpienia nie jest to najbardziej stabilny emocjonalnie koleś we wszechświecie.

Kingpin (Marvel Comics)

Bandzior, który staje się być mózgiem sporej części marvelowskiego świata przestępczego. Charakterystyczny łysy grubas, który zamknął się w wieży, by chować się przed Punisherem i Dare-



Kingpin



devilem. Żeby osiągnąć cel jest zdolny do wszystkiego – pozwolił nawet zginąć własnemu synowi. Nie cofnie się też przed zatrudnieniem innych świrów, jak choćby Bullseye. A skoro już przy nim jesteśmy...



Bullseye



Johnny

Bullseye (Marvel Comics)

Płatny morderca, który nigdy nie zawodzi. Choć należy do głównych przeciwników Daredevila, to jeden z najbardziej zapadających w pamięć epizodów (i ostatni) zaliczył na łamach serii **Punisher**. Wynajęty przez Kingpina, by zlikwidować głównego bohatera, starał się wcielić w jego skórę. Nie cofnął się przed zabiciem i torturowaniem kilku rodzin, żeby odtworzyć wydarzenia, które doprowadziły do powstania Punishera.

Na koniec dodajmy, że normalni ludzie raczej nie zdobią swojego czoła tatuażem przedstawiającym tarczę strzelecką.

Johnny (Jhonen Vasquez, *Johnny the Homicidal Maniac*)

Dwie rzeczy są pewne o Johnnym – lubi zadawać ból i zabijać, stosując naprawdę wymyślne sposoby, oraz jest diabelnie samotny, co wpędziło go w nielichą depresję. I to w zasadzie wystarczy. Vasquez stworzył mało znaną, ale w pewien sposób fascynującą historię nastolatka, który nie widzi świata poza fizycznym znęcaniem się nad innymi i psychicznym torturowaniem siebie.

Na łamach siedmiu zeszytów **Johnny the Homicidal Maniac** wydanych przez Slave Labor w 1999 roku dzieją się naprawdę różne rzeczy, ale żadna z nich nie jest miła ani wesoła. Johnny to pierwowzór emo totalnego, zaś komiksy z nim w roli głównej przeznaczone są zdecydowanie dla dojrzałych i odpornych psychicznie czytelników.

Judge Death (2000AD, *Judge Dredd*)

Sędzia Dredd to ciekawa postać, sędzia Anderson też. Ale w świecie wykreowanym przez 2000AD najciekawszą postacią jest Sędzia Śmierć!

Judge Death to kawał skubańca, można by rzec – produkt swoich czasów, spaczonej demagogii i źle pojętej sprawiedliwości. Razem ze swoimi kumplami (cały kwartecik szumnie ochrzcił się Mrocznymi Sędziami) Death wybił wszystko, co żyło, we własnym świecie, który tym samym zasłużył sobie na nazwę **Deadworld**. Dlaczego Death posunął się do takiego rozwiązania? By wymierzyć sprawiedliwość. Ten typiek myśli w bardzo prosty sposób – przestępstwa popełniają żyjący, zatem życie jest największym przestępstwem. On już i tak żyje jest martwy, podobnie jak jego kumple. Razem zatem wpadają co jakiś czas do Mega City One, by tam siać swoją wizję sprawiedliwości. Za dużo widzę w tej postaci odniesień do współczesnej medialno-politycznej rzeczywistości, by nie znalazła się na mojej liście.

Garfield (Jim Davis, *Garfield*)

Zdziwieni? Doprawdy? A cóż to za zwierzę, które od lat znęca się nad swoim



Judge Death

właścicielem Jonem Arbuckle'em, jego psem Odie'em, słodkim kociakiem Nermalem, zakochaną w Garfieldzie kotką Arlene, a ostatnio także partnerką Jona Elisabeth Wilson, która jest na dodatek weterynarzem? Że już o tysiącach zamordowanych przy użyciu kubka i gazet pajaków czy gadającej wadze łazienkowej nie wspomnę?! Czy jesteście pewni, że akurat TAKIE zwierzę chcielibyście trzymać w domu?

Jakub Milszewski



Garfield

Mikołaj Tkacz

rozmowa

Nie chodzi o wirtuozerię

Ma zaledwie 22 lata, ale lista jego osiągnięć już jest imponująca. Własny magazyn komiksowy, liczne publikacje albumowe, udział w pracach nad **Wielkim Atlasem Ciot Polskich**, wystawy i wernisaże, wydanie płyty, koncerty w kraju i za granicą... O tych i o innych rzeczach rozmawialiśmy w szczecińskim mieszkaniu Mikołaja. W tle leciał album **Cosmogramma** Flying Lotusa z kasety magnetofonowej osobiście spowolnionej przez mojego rozmówcę.

Ten album brzmi dużo lepiej w wolniejszej wersji.

Mikołaj Tkacz: Prawda? Na **Cosmogrammie** za dużo się dzieje i dopiero po tym, jak ją spowolniłem, zaczęła mi się podobać.

Podpisuję się pod tym, ale zostawmy Lotusa i skupmy się na Tobie. Mijający rok był dla Ciebie bardzo intensywny – opublikowałeś komiks Nieznany geniusz z Agnieszką Piksą i swój autorski album Przygody Nikogo, wydałeś płytę Rondo projektu Radioda, który tworzysz z bratem Piotrem, miałeś kilka wystaw, brałeś udział w Międzynarodowym Festiwalu Komiksu w Łodzi, przewodzisz grupie Maszyn... Co było w tym wszystkim najbardziej emocjonujące?

Chyba publikacja **Przygód Nikogo**. Byłem zaskoczony recenzjami, że można tyle

napisać na ten temat, bo przecież w tym albumie właściwie nic się nie dzieje, są tylko ujęcia pustych pokoi. Niektórzy mówili nawet, że może to jest „trolling roku”. Wystawy też były emocjonujące, ponieważ prezentowanie swoich prac i słuchanie opinii odbiorców zawsze jest ciekawe. A opinie bywają skrajne. Na przykład na wystawie **Komiksy w kal-kach** w Galerii U we Wrocławiu, gdzie zaprezentowałem 40 improwizowanych komiksów narysowanych przeze mnie prostą, minimalistyczną kreską, studenci miejscowej ASP zastanawiali się: „Te prace chcą tutaj pokazywać, a moich nie, o co chodzi?” Razem z kuratorką, która zresztą również studiuje na ASP, mieliśmy z tego niezły ubaw.

Czyli możemy oficjalnie ogłosić, że Przygody Nikogo to nie jest żaden trolling?

To nie jest trolling, ale oczywiście jest w tym żart. To przecież są **Przygody Nikogo**. Tam nikogo nie ma i na tym polega



dowcip. Mnie samego to bawi i kiedy widzę, że bawi też innych, bardzo się z tego cieszę. Ale na pewno nie chodziło mi o to, żeby zrobić kogoś w konia, żeby ktoś poczuł się zawiedziony. Myślę, że każdy, kto kupuje ten album, jest świadomy jego zawartości i nie poczuje się zrobiony w bambuko.

No właśnie – Twoje prace bywają bardzo śmieszne, czasami nawet absurdalne, ale jest w nich również pewna nuta melancholii.

W każdym życiu jest zarówno sporo wesołości, jak i smutku, samotności i rozrywki, wzlotów i upadków. Jestem osobą, która dużo żartuje, ale najczęściej tematem moich dowcipów są rzeczy smutne. Można powiedzieć, że **Przygody Nikogo** to komiks o samotności, swego rodzaju żart na temat stanu, który w jakiś sposób towarzyszy każdemu człowiekowi. Także film **Rysunki, które zrobiłem w manii** składa się, jak podpowiada tytuł, z prac, które powstawały po moim epizodzie maniakalnym, i choć nie brzmi to wesoło, te rysunki też są śmieszne. Na dodatek opowiadam o nich w humorystyczny sposób. A jednak czuć w nich pewne napięcie, przewija się tam samotność i smutek. Melancholia zawsze mi towarzyszyła, podobnie jak wesołość. To dla mnie bardzo ważne – łączenie smutku z radością. Najlepsze filmy to te, w których panuje idealna harmonia między obydwojma stanami, na przykład dokonania Woody'ego Allena czy Jima Jarmuscha.

Twoja twórczość zdradza też fascynację surrealizmem i dadaizmem.

W liceum byłem pod dużym wrażeniem surrealistów, fascynowali mnie mnogością rozwiązań i skojarzeń. Mocno wgłębiłem się w ten temat, poświęciłem mu pracę maturalną. Z kolei dadaistów



wtedy nie trawiłem – wydawało mi się, że to takie błędzenie bez celu, które szybko się wypala. Ostatnimi czasy okazało się, że dadaizm jest mi znacznie bliższy niż surrealizm. Zacząłem czytać książkę o ruchu dada i odkryłem, że czuję większy związek np. z Duchampem niż z Dalim.

Chodzi o Dadaizm Hansa Richtera?

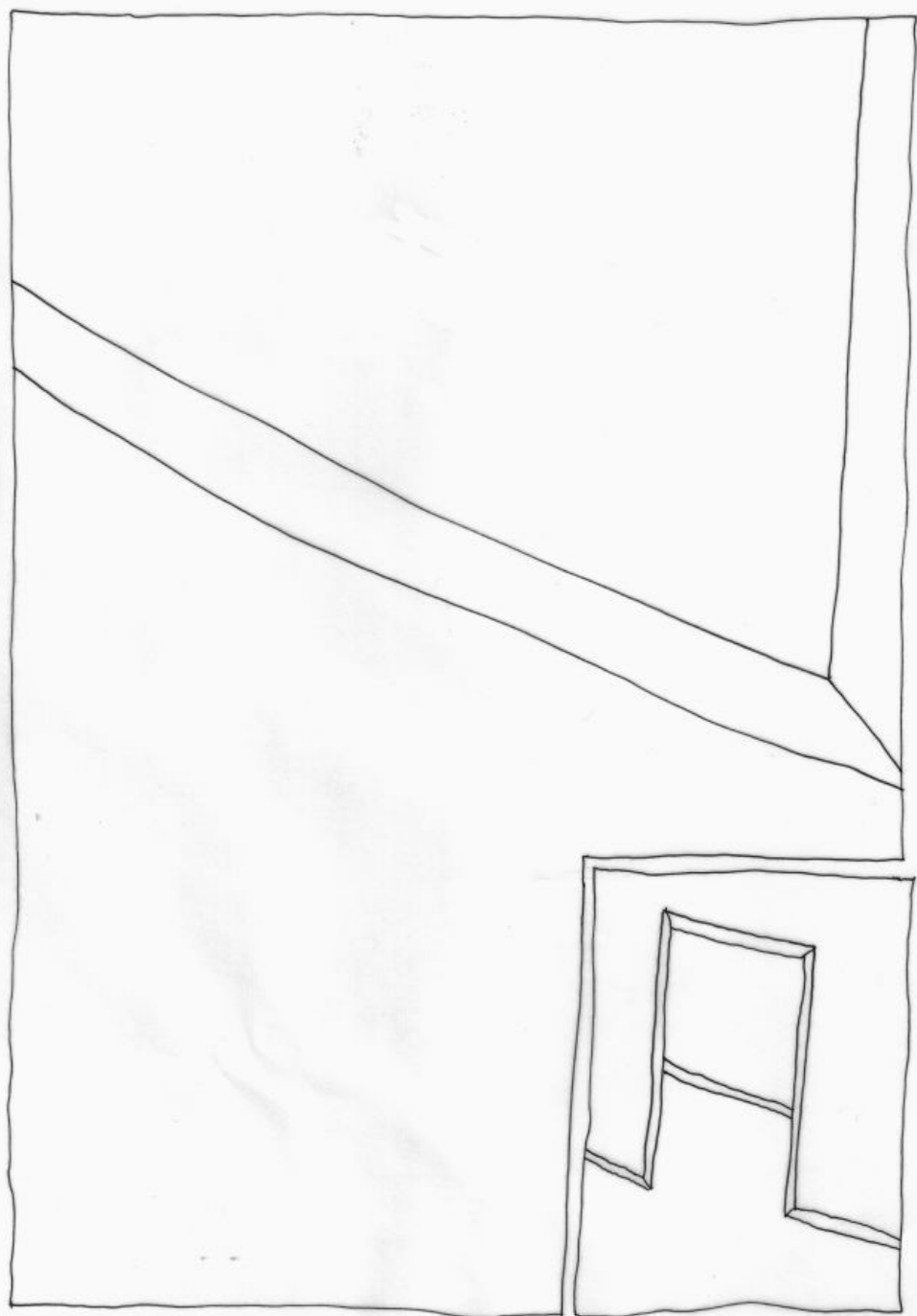
Tak, tak! Z tej samej serii, w ramach której ukazała się książka o surrealistach. Tylko że ona była napisana z historycznej perspektywy kogoś spoza środowiska, a **Dadaizm** to relacja człowieka, który aktywnie uczestniczył w ruchu – Richter był przecież jednym z głównych ideologów dada. To jest dużo bardziej pasjonujące, bo ja też udzielam się w grupie artystycznej i bardzo podoba mi się obserwacja osobistych relacji, które powstawały między twórcami, i jak działały te wszystkie mechanizmy.

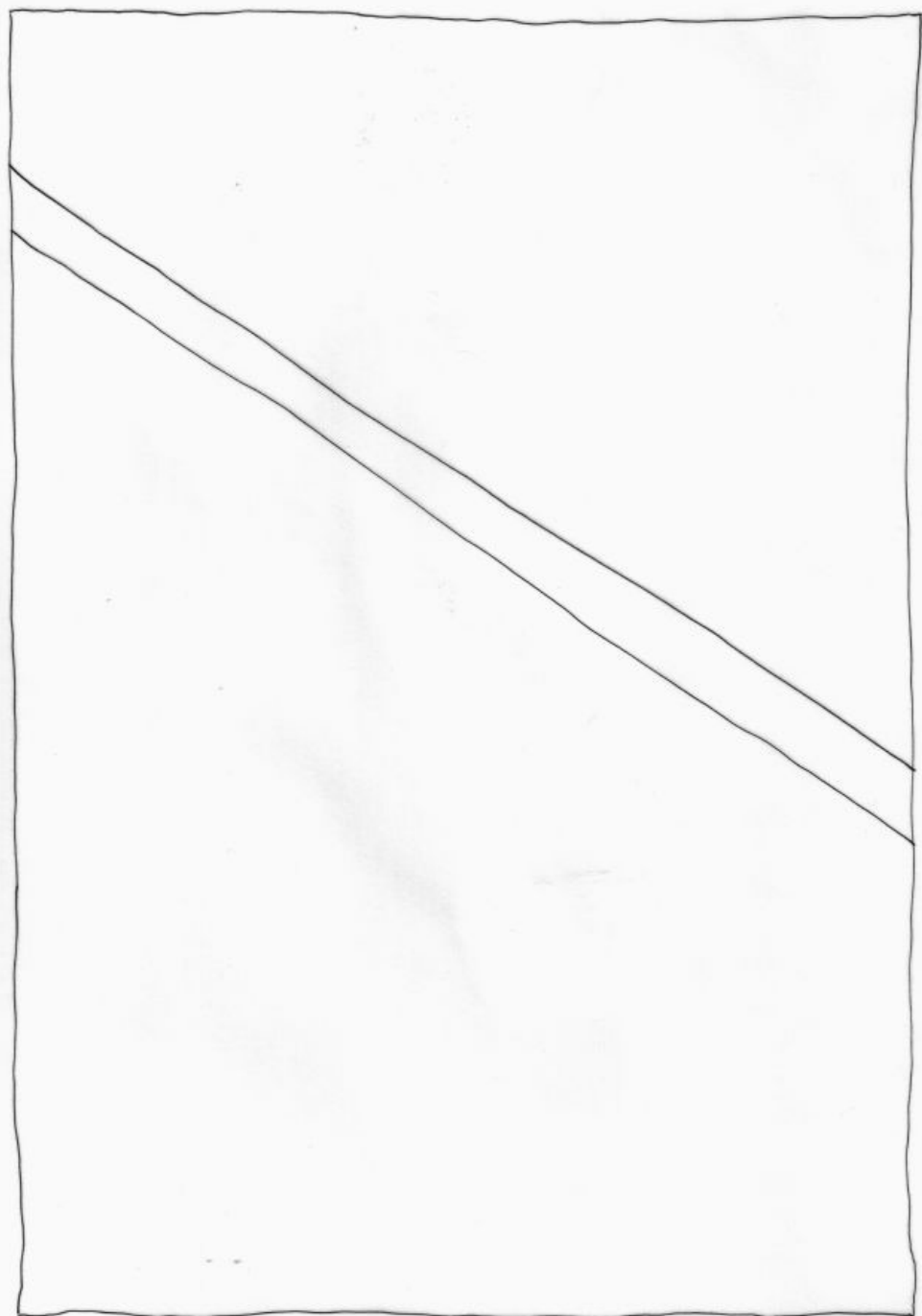
Opowiedz o swojej grupie.

Grupa nazywa się Maszin i powstała 3,5 roku temu. Poznaliśmy się przed laty przy okazji konkursu paskowego w świetnym serwisie „WRAK”. Tam było forum

Na następnych stronach: *Przygody Nikogo*







i właśnie na nim odbywały się bitwy na paski komiksowe, wymyślone zresztą przez jednego z członków Maszina – Micę. Każdego tygodnia padał konkretny temat, który rysownicy skupieni wokół forum opracowywali w formie paska do czterech kadrów. Po pewnym czasie wyklarowała się grupa twórców, którzy nawzajem przyznawali sobie punkty za te konkursowe komiksy i przez to częściej wygrywali. Ludzie zaczęli mówić, że to na pewno znajomi, którzy się wspierają, takie kółko wzajemnej adoracji. A prawda jest taka, że w ogóle się nie znaliśmy, tylko po prostu nawzajem ceniliśmy swoje prace. Naturalną kolejną rzeczą było założenie przez nas bloga komiksowego, będącego reaktywacją mojego zina Maszin sprzed lat. Na początku codziennie wrzucaliśmy coś na bloga, każdy miał swój dzień publikacji. W tym czasie zebrałiśmy około siedmiu osób, które do dzisiaj są mniej lub bardziej aktywnymi członkami grupy. W tym roku zaczęliśmy wydawać albumy komiksowe w serii „Kolekcja Maszina”. Jej początkiem były cztery pozycje, które ukazały się nakładem wydawnictwa Centrala przy okazji poznańskiego festiwalu komiksowego Ligatura. Potem wyszedł album **A niech cię, Tesla!** Jacka Świdzińskiego w barwach Kultury Gniewu, więc nie ograniczamy się do jednego wydawnictwa. Kolekcja cały czas się rozwija, pracujemy nad kolejnymi pozycjami. Nie mamy konkretnej idei programowej, te komiksy mają być po prostu ciekawe dla nas samych.

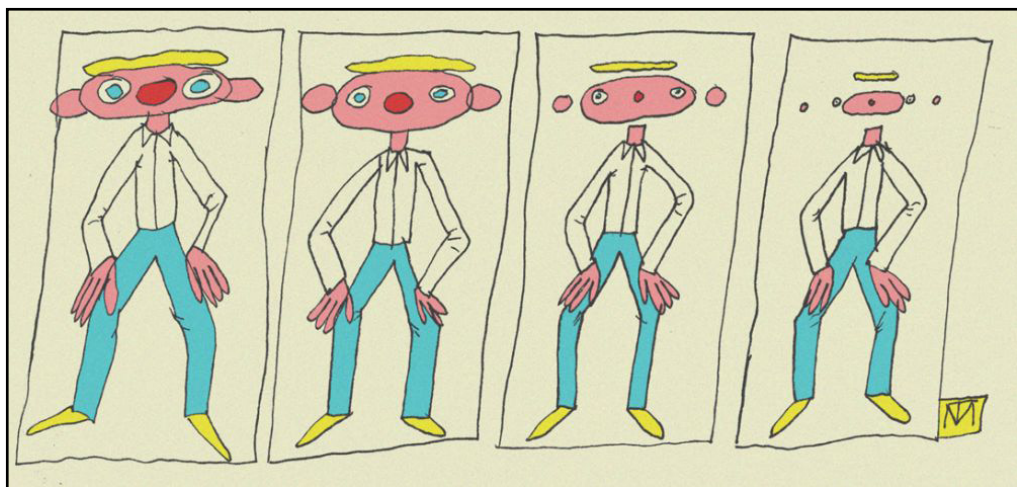
Nie macie linii programowej, ale kiedyś sam przyznałeś, że grupa Maszin powstała między innymi po to, żeby wypełnić pewną lukę, która istnieje na polskim rynku komiksowym.

To prawda. Chodziło o lukę związaną z komiksem eksperymentalnym, awangardowym. Polskie komiksy ukazują się w niskich nakładach, przy czym ich autorzy starają się – świadomie lub nie – żeby

były one w gruncie rzeczy mainstreamowe. Naszym celem jest robienie komiksów nietypowych, eksperymentujących zarówno z formą, jak i treścią. Chcemy prezentować coś, czego nam brakuje na krajowym rynku komiksowym, a co jest powszechne w Ameryce czy Anglii. U nas komiks awangardowy to niewielki obszar, gdzie prym wiedzie głównie Pszren, czyli Piotr Szreniawski, który wypuszcza swoje komiksy w nakładzie jednego egzemplarza do Biblioteki Narodowej i w sieci do pobrania. To są bardzo ciekawe eksperymenty formalne, podobnie jak prace Jakuba Woynarowskiego. W grupie Maszin lubimy łączyć eksperymentalne podejście z poczuciem humoru inspirowanym Mrożkiem i Butenką. Ten humor jest dla nas bardzo ważny.

Wzmianka o Mrożku mnie nie dziwi – kiedy pokazałeś mi najnowszy, szósty numer Maszina, miałem skojarzenia z Borisem Vianem i Daniilem Charmssem. Wasza twórczość ma silne związki z literaturą.

Zdecydowanie. Cała grupa dużo czyta. Ja właściwie najmniej, chociaż bardzo lubię czytać, ale kiedy zaczynam jakąś książkę, to zwykle dochodzę do jej połowy i czuję się już bardzo zaspokojony tym, co przeczytałem, więc trudno jest mi przebrnąć przez drugą część (śmiech). Sięgam więc po kolejną i historia się powtarza, przez co mam dużo niedokończonych lektur. Ale to chyba dlatego, że przeczytałem w życiu więcej komiksów niż książek i przyzwyczailem się do tego, że komiks ma z reguły zawartość opowiadania. Istnieją, rzecz jasna, powieściowe komiksy, ale jednak przeważają te nowelowe, także krótkie formy gagowe. Generalnie jednak w grupie Maszin jest bardzo dużo inspiracji literackich, szczególnie pisarzami związanymi z ruchem OuLiPo. Ostatnio Mica ciągle szuka w komiksie literackich doznań i powtarza, że my ciągle nie robimy „komiksowej literatury”,



a on bardzo na to czeka. Pokazujemy mu nasze nowe prace i pytamy się, czy to już literatura, a on odpowiada: „Nie, to nie to”.

Według jakich kryteriów on to rozgranicza?

No właśnie trudno mi to stwierdzić (śmiech). Literatura w komiksie jest chyba tam, gdzie treść przeważa nad formą, i ta treść jest poważniejsza. Zdaje się, że on widzi to w ten sposób. W kwietniu w „Kolekcji Maszina” ukazał się album **Maczużnik** Michała Rzecznika i Daniela Gutowskiego, którym Mica jest mocno zawiedziony – właśnie dlatego, że autorzy skupili się na formie, swoją drogą wspinałej. Tymczasem treść tego komiksu można streścić w kilku zdaniach.

Uczestnicy łódzkiego MFK mieli inne zdanie – od głównej nagrody dzieliły Gutowskiego i Rzecznika tylko dwa głosy.

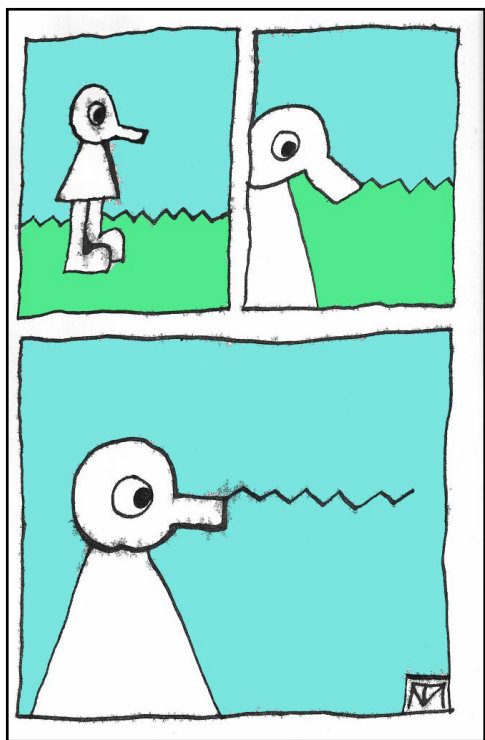
Może dlatego, że odbiorcy komiksowi mają inne wymagania wobec komiksów i inne wobec literatury. Na polskim rynku **Maczużnik** jest absolutnym fenomenem, jeśli chodzi o grafikę – uważam, że coś takiego nie wydarzyło się u nas od lat, może nawet od czasów Krzysztofa Gaw-

ronkiewicza. Czuć w tym albumie, że Daniel jest obyty z najlepszą stroną komiksu amerykańskiego i świetnie to interpretuje w swoich rysunkach. No i właśnie ze względu na tę dbałość o graficzną stronę **Maczużnika** komiks ten uchodzi za dzieło wybitnie formalne. Cieszę się, że jest ono ubrane w tak piękną warstwę wizualną. To prawdopodobnie główny powód, dla którego uzyskało tak dobry wynik w głosowaniu na MFK. Chłopaki mieli pomysł, że jeśli wygrają, to wyjdą na scenę z kartką, z której przeczytają: „Nie spodziewaliśmy się tego”. To byłby żart idealnie w stylu Maszina.

Zatrzymajmy się na chwilę przy odbiorcach komiksów. Krzysztof Varga powiedział, że bycie prawdziwym wielbicielem i kolekcjonerem komiksu wymaga posiadania w sobie pewnego elementu socjopatii.

Socjopatii? Dlaczego?

Bo fani komiksu to taka dziwaczna, osobna kasta uczestników kultury, którzy są w stanie wydać ostatnie pieniądze na upragnione rzadkie wydanie, i że jest to szalenie hermetyczne środowisko.



Faktycznie można powiedzieć, że w Komiksowie wszyscy się znają, zarówno twórcy, jak i co aktywniejsi czytelnicy i kolekcjonerzy. To rzeczywiście jest dość hermetyczna grupa, na dodatek nieliczna. Ale coraz częściej spotykam się z tym, że po komiksy sięgają moi znajomi, którzy zupełnie się nimi nie interesują i nie śledzą tego, co dzieje się w komiksowym świecie. Nasza grupa Maszin celuje właśnie w takich odbiorców. O ile wiem, fani Macieja Sieńczyka pochodzą głównie ze środowisk pozakomiksowych. Na początku Sieńczyk był postrzegany jako kuriozum i mieszany z błotem. Podejście zmieniło się, kiedy dostał nominację do Nike za **Przygody na bezludnej wyspie** – komiksowy światek zaczął go szanować, a sam autor stał się sławny. Podobno po tym, jak dostał nominację, magazyny z jego pracami dosłownie opustoszały. Do sklepu Centrum Komiksu w Warszawie regularnie przychodzą znani ludzie,

tacy jak Macio Moretti, i w ciemno biorą pakiet Kultury Gniewu. Nie interesują się, co się dzieje w komiksowym świecie, ale chcą być na bieżąco, bo lubią komiksy, a wiedzą, że to jest wydawnictwo, któremu mogą zaufać. Do ludzi, którzy nie siedzą w tym temacie na co dzień, pewne rzeczy docierają wybiórczo albo w ogóle nie docierają. Na przykład album **Warszawa** Michała Rzecznika, który mamy przed sobą, wyszedł poza oficjalnym obiegiem i w niskim nakładzie, przez co może nie wyjść poza środowisko. A ja od paru dni pokazuję **Warszawę** znajomym i wszyscy są zachwyceni, niektórzy nawet zamówili kilka egzemplarzy. Szkoda, że czasami coś jest traktowane tak niszowo, bo przez to nie dociera do szerszego grona odbiorców.

Z drugiej strony niszowość często pozwala na swobodę twórczą i niezależność.

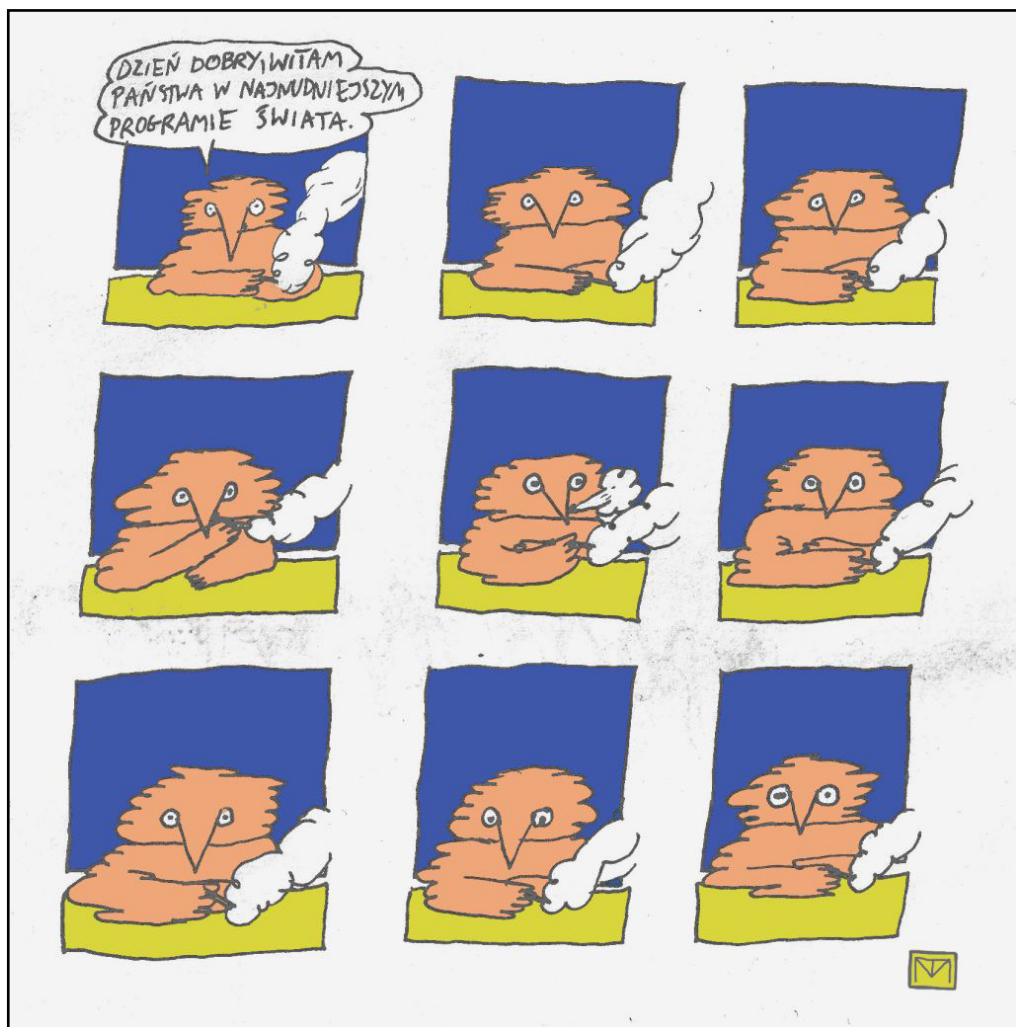
Co jakiś czas niektórzy ludzie z Komiksowa podpisują „cyrograf” i rysują komiksy na rzecz reklamy albo historyczne albumy według narzuconego scenariusza. Najczęściej robią to osoby, które mniej rysują. Czasami powstają z tego rzeczy ciekawe, czasami totalne gnioty. Nie jestem pewien, jak to wygląda gdzie indziej, na przykład na rynku francuskim, nie wiem, w jakim stopniu tamtejsi komiksiarze mają narzucone tematy. We Francji nawet niezależne komiksy ukazują się w takich nakładach jak u nas pozycje mainstreamowe. Tam czytanie komiksów jest tak powszechne, że podobno statystycznie każdy Francuz czyta rocznie jeden komiks. To jest liczba, której polski komiks nie osiągnie pewnie przez następne kilkanaście, a może i kilkadziesiąt lat. Jednocześnie mnóstwo młodzieży w Polsce czyta różne rzeczy w komiksowej formie, śmieszne obrazki w internecie czy w gazetach, więc to taka zabawna przewrotność. Przecież Raczkowski ma mnóstwo – jeśli nie większość – czytelników poza fanami komiksu. Wyjście poza

to środowisko w większości przypadków przebiega przez zrobienie komiksu na temat uniwersalny i dotyczący kwestii społecznych, jak choćby **Ciemna strona księżyca** Olgi Wróbel o jej ciąży. Ten album trafił nawet do telewizji śniadaniowej ze względu na tematykę. A z drugiej strony jest Kuba Woynarowski, który ze swoimi komiksami chyba bardziej funkcjonuje w środowisku artystycznym niż komiksowym. Grupa Maszin też nie jest nastawiona na tworzenie komiksów

zaangażowanych społecznie. Skupiamy się na bardziej nietypowych rzeczach.

Wspomniałeś o podziale – podejrzewam, że dość umownym – na świat artystyczny i komiksowy. Jesteś studentem Akademii Sztuki w Szczecinie. Jak wykładowcy reagują na Twoje prace?

Jeżeli chodzi o komiksy bardziej eksperymentalne, to bardzo im się podobają. Kiedy mam zrealizować w danej pracowni pomysł i chcę zrobić to w formie



eksperymentalnego komiksu, są pełni entuzjazmu. Widzą, że mam swoją niszę. Ale nie czuję potrzeby rozmawiania z nimi o bardziej typowych, powiedzmy „kreskówkowych” komiksach, które też robię. Jeden z moich wykładowców trafnie rozpoznał i docenił żarty, które zawarłem w albumie o Marii Fiodorownie. Ten komiks wyszedł zresztą na mojej uczelni.

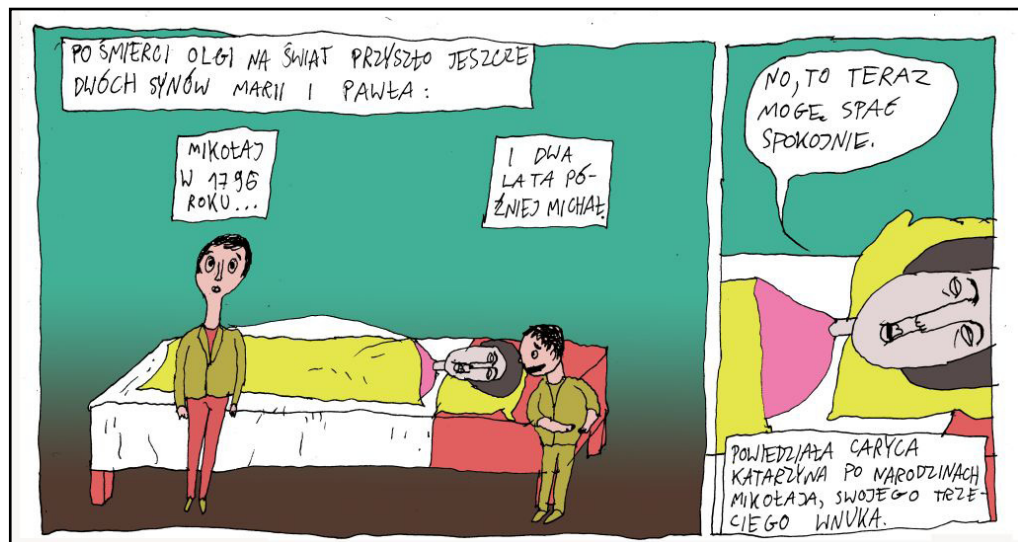
Przypomnijmy, że jego pełny tytuł to Opowieść o tym jak księżniczka witemberska bez posagu została Matką Carów Rosji, czyli historia przemiany Zofii Augusty w Marię Fiodorownę, widzianą oczami obecnych dzierżycieli domu jej urodzenia, Pałacu Pod Globusem w Szczecinie. Jak doszło do powstania tego albumu?

Tina Siuda dostała propozycję od uczelni, żeby zrealizować komiks o księżniczce Marii Fiodorownie. Mogła dobrać kogoś do wspólnej pracy, a ponieważ wiedziała, że od lat rysuję, zaproponowała właśnie mnie. Postanowiliśmy podzielić się pracą pół na pół. Dostaliśmy scenariusz w formie opowiadania i równolegle rysowaliśmy swoje części. Miałem do przed-

stawienia parędziesiąt lat z życia Marii Fiodorowny – od czasu poślubienia cara do śmierci. Dysponowałem dużą swobodą, jeśli chodzi o przedstawianie wydarzeń zawartych w scenariuszu, mogłem robić to za pośrednictwem narracji albo w dialogach. Nikt mi niczego nie narzucał. Dzięki temu udało mi się przemycić różne absurdalne sceny, na przykład kiedy rodzą się kolejni synowie Marii Fiodorowny – w kadrze widać dwóch synów, za nimi w tle leży na łóżku caryca Katarzyna i właściwie nie wiadomo, dlaczego ona tam jest. A w następnym kadrze jest zbliżenie na carycę, której bardzo zależało na wnukach płci męskiej, i ona mówi wtedy: „No, teraz mogę spać spokojnie”.

Absurd to nieodłączna część Twoich prac, podobnie jak brzydota. Na przykład w Nieznanym geniuszu, do którego napisałeś scenariusz, a który narysowała Agnieszka Piksa, główny bohater – malarz Ernest – portretuje brzydkich ludzi.

Brzydota pojawiła się w moich pracach chyba przez komiks **Mikropolis** Gawronkiewicza i Dennisa Wojdy – serię pasków,





które ukazywały się w *Co jest Grane*, a później wyszły w formie albumowej. To był, zdaje się, pierwszy polski komiks, który świadomie przeczytałem, jeszcze w podstawówce, i właśnie od niego zaczęła się moja przygoda z komiksem. Wszystkie postacie były tam brzydkie, pomarszczone, nieestetyczne. Im dłużej to czytałem, tym bardziej dostrzegałem, że to nie wcale nie są ładni ludzie (śmiech). Będąc pod mocnym wpływem tych pasków, dużo myślałem o brzydkich ludziach i ich kontaktach z innymi, więc w gimnazjum napisałem opowiadanie, które zostało zaadaptowane na komiks **Nieznany geniusz**. Bardzo możliwe, że scena w autobusie z tego albumu powstała z inspiracji jednym z pasków **Mikropolis**, gdzie akcja rozgrywała się właśnie w komunikacji miejskiej.

Brzydota to pewien defekt. W muzyce istnieje pojęcie estetyki usterki, czyli świadomego wykorzystywania błędów, pomyłek i niedociągnięć. Zastanawiam

się, czy nie stosujesz podobnej strategii podczas rysowania.

Tak jest. Ten antyestetyzm jest bardzo wyraźny choćby w komiksie o Marii Fiodorownie, gdzie kolory są bardzo jaskrawe, kiczowate, wręcz rażą oczy – ale przez to są piękne. Moja ówczesna dziewczyna przekonała mnie, żebym zastosował bardzo mocne gradienty. W jednej scenie jest gradient na całym niebie, kolor przechodzi od jasnego do ciemnego. Po jasnej stronie są bogacze, a po ciemnej biedacy, którzy klęczą i wznoszą błagalne modły ku niebiosom. Moim zdaniem widać tam pewnego rodzaju estetykę usterki. Właściwie te rysunki same w sobie są usterką, bo miałem krótki termin i bardzo szybko je rysowałem (śmiech). Nie powiem, że byłem nietrzeźwy podczas ich tworzenia, ale lubiłem się wtedy napić. To bardzo napędzało moją pracę.

Wyjątkową pozycją w Twojej twórczości jest film *Rysunki*, które zrobiłem w manii.



Opowiadam w nim o moich rysunkach. Powstały one po ciężkim okresie w moim życiu, kiedy miałem dużą potrzebę wyżycia się, zapisywania i zarysowywania kartek. Kupiłem blok z kalkami, cienkopis, długopis i ołówek, i swobodnie rysowałem, co tylko mi przyszło na myśl. Często nawet za dużo nie myślałem, tylko prowadziłem kreskę, jak ręka chciała. Nie do końca wiedziałem, co się pojawi na kartkach i w naturalny sposób stworzyły one spójny zbiór. Po jakimś czasie czerwonym i niebieskim pisakiem zaakcentowałem różne rzeczy, a potem opowiedziałem o tych rysunkach i nagrałem tę opowieść. Pod względem formy jest to inspiracja filmami Wojtka Bąkowskiego, bo przez lata byłem pod mocnym wpływem jego twórczości. W jakiś sposób jest to dla mnie ważny film, został też nagrodzony na dwóch festiwalach, a moi wykładowcy uważają go za moją najlepszą pracę. Namawiają mnie też, żebym robił więcej takich rzeczy. A ja trochę boję się popadać w tę formułę robienia rysunków i opowiadania o nich, bo już ją poniekąd wyczerpałem. Przynajmniej na razie. Lubię pokazywać ten film ludziom. Samemu też go lubię oglądać, również dlatego, że to właśnie tam po raz pierwszy pojawiły się **Przygody Nikogo**. Najpierw były jednostronicowe, przez rok dojrzewały do formy pełnometrażowej na 40 stron i w końcu ukazały się jako album.

Album, dodajmy, całkowicie pozbawiony słów, jeśli nie liczyć tytułu. Tom Waits powiedział kiedyś, że muzyka jest okrągła, a słowa kanciaste – kiedy wpiszesz kwadrat w koło, zostaje trochę pustych przestrzeni. Zamieńmy na chwilę muzykę na rysunek. Wiele Twoich komiksów to historie nieme. Wolisz opowiadać obrazami, niż słowami?

Robiąc żarty rysunkowe, posługuję się zarówno słowem, jak i jego brakiem. Osobiście bardzo lubię żarty bez słów, które opierają się na dowcipie graficznym, jakimś przesunięciu i tak dalej. Jednak słowa często sprawiają, że rysunki zaczynają żyć w inny sposób. Gdyby przedstawić **Przygody Nikogo** bez tytułu, to nie miałyby takiej siły. W takim wypadku można by wręcz powiedzieć, że kopiuję film **Le ravissement de Frank N. Stein** George'a Schwizgebela – animację z lat 80. o poruszaniu się po pustych pomieszczeniach. To nie byłoby aż tak ciekawe, a tytuł nadaje całości dodatkowego znaczenia – mówi wyraźnie, że są to przygody Nikogo, a nie puste pokoje, że w tych przestrzeniach dzieją się jakieś przygody. Często bywa też tak, że rysuję coś dla zabawy, a później dodaję jakiś podpis albo dymki z kwestiami czy myślami. Wtedy z zupełnie zwyczajnego rysunku robi się żart. Odpowiadając na Twoje pytanie – nie wiem, czy w moich pracach słowa tworzą te puste prze-

strzenie, o których mówi Waits, ale bez rysunku na pewno by nie istniały. Myślę, że u mnie nie ma kwadratów – zarówno rysunki, jak i słowa są kołami, które obracają się w różne strony.

Ciekawie to zilustrował. Co jeszcze Cię inspiruje, poza Bąkowskim, surrealistami, dadaistami i opozycją smutek-radość?

Kiedy wspominałeś o muzyce i słowach, to nasunęło mi się na myśl coś, co praktykuję w swojej twórczości muzycznej, a co też przenika do moich komiksów. Wielu **beatmakerów**, na przykład Madlib, czy kompozytorów, takich jak Władysław Komendarek, nadaje swoim utworom abstrakcyjne, często absurdalne tytuły, które są wyrażeniem pewnej atmosfery. Wydaje mi się, że często robię podobnie, gdy rysuję. Bardziej niż fabułę lubię przekazywać jakiś klimat. To jest ważny składnik tworzenia, będący inspiracją spoza świata komiksu czy sztuki. Są też różni twórcy filmowi, na przykład Aki Kaurismäki, którego podziwiam za czystość formy i umiejętność opowiadania prostych historii w piękny sposób. Bardzo lubię dzieła, w których niewiele się dzieje i pomimo, że są ładnie, prosto opowiedziane, to jednak się je przeżywa. Do czegoś takiego staram się dążyć.

Pozostanę przy muzyce. Mikołaj Tkacz to nie tylko rysownik, ale i muzyk. Jako DJ MT grasz spowolniony hip hop, jako Herr Rubin i TV OST tworzysz bardziej eksperymentalne formy, a z bratem Piotrem udzielasz się jako Radioda. Wydaliście niedawno płytę Rondo, która w nietypowy sposób wykorzystuje stare odbiorniki radiowe.

Podobnie jak w komiksie, tak i w muzyce interesuje mnie głównie eksperyment i zdawanie się na przypadek. I podobnie jak przy rysowaniu staram się, żeby moja muzyka, którą robię solo na komputerze,

miała w sobie pewien ładunek humoru. Utwory są czasem dość absurdalne, co jest potęgowane przez komiczny tytuł. Co jakiś czas na koncertach opowiadam o swojej muzyce, dlaczego mają takie, a nie inne tytuły, co słyszać w danej sekundzie itp. To taka trochę narracja jak w komiksach, więc to kolejny łącznik. A jeśli chodzi o Radiodę, to mój brat przez lata puszczał mi mnóstwo muzyki improwizowanej i sam zacząłem improwizować na radiu, a potem nagrywać to na kasetach. Granie na radioodbiornikach jest zupełną improwizacją. Trudno stworzyć jakąś konkretną melodię, można co najwyżej zaznaczyć rytm.

Rondo jest dla mnie bardzo transową płytą, tak jak Time Machines grupy Coil. Czy to był świadomy zabieg?

Na koncertach gramy jednocześnie na dwóch radioodbiornikach. Piotr wpadł na pomysł, żeby płytę stworzyć odwrotnie – nagrywając osobne ścieżki. Naszym zamiarem było powtórzenie tych ścieżek w różnych kombinacjach, raz w jednym kanale, innym razem w połączeniu z inną partią i tak dalej. Całość jest zresztą bardzo powtarzalna, wręcz monotonna. Możliwe, że mojemu bratu chodziło o wywołanie stanów transowych u słuchaczy. Kiedy rozmawialiśmy o tej płycie, poruszaliśmy temat powracających motywów muzycznych, a więc niejako transowości, ale z mojej strony nie był to świadomy zabieg. Z drugiej strony **Rondo** ma w sobie pewien pierwiastek nudy, bo to jest bardzo monotonna i jednostajna muzyka, a nuda też wprowadza w swoisty trans. Tak jak utwory Wolfganga Voigta, bardzo długie i często nużące, a przy tym niezwykle hipnotyczne.

Grasz na modelu Unitra Beskid, a Twój brat na Grundigu. Skąd to zainteresowanie starymi radiami w czasach, kiedy wszystko można automatycznie nastroić?



Grundig jest nowszy, ma ze 12 lat, ale faktycznie jest ręcznie regulowany. Chwała Bogu, że kiedy przed laty rodzice kupowali mi pierwszy odtwarzacz muzyczny, to akurat w sklepie nie było tych regulowanych automatycznie, tylko same manualne. W podstawówce celowo przestrajałem to radio i zacząłem nagrywać kasety z szumami i zakłóceniami. Przez lata grałem na tym pierwszym radioodbiorniku, a potem okazało się, że kolega ma do oddania stare radio. To była właśnie Unitra Beskid, taka drewniana skrzynka z wbudowanym głośnikiem. Dobrze mi służyła, dopóki nie zepsuła się na samym początku koncertu. To był drugi występ Radiody w Berlinie i radio nagle przestało grać, wydawało tylko jedno buczenie na wszystkich typach fal. Musiałem grać wtedy na radyjku-budziku, które ktoś przyniósł z mieszkania wyżej.

To się bardzo dobrze wpisuje w estetykę usterki, improwizację i przypadek.

Tak, zdecydowanie, bo to było zupełnie coś innego. W każdym razie przygoda z radiem wyszła bardzo naturalnie, przez długi czas byłem ciekaw, jak bę-

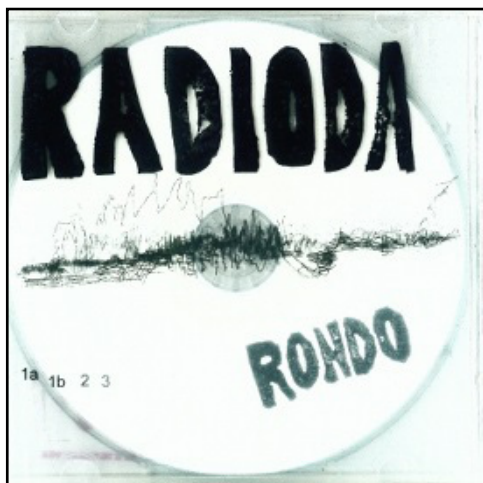
dzie brzmieć stare radio i byłem zaskoczony tym, jak ciekawe efekty można z niego wydobyć. Na takich stacjach odbiera się mniej polskich stacji, a więcej zagranicznych. Dźwiękowo dzieją się tam bardzo dziwne rzeczy. Kiedyś udało mi się złapać jakąś azjatycki kanał, chyba chiński. Spikerzy mówili w niezwykłym języku i puszczały ludowe piosenki. Jeśli ktoś ma do dyspozycji działające stare radio, to polecam się pobawić.

Rondo to album studyjny. Czy Radioda ma jakieś nagrania koncertowe?

Mamy nagrania z koncertów, ale nic profesjonalnego, tylko zapisy z dyktafonu. Myślmy za to o drugim albumie studyjnym. Chciałbym zrobić go w ten sposób, żebyśmy grali z bratem przez dzień lub dwa i powycinali z tych sesji krótkie utwory i złożyli z nich płytę. Na **Rondzie** są trzy kompozycje i każda trwa ponad 10 minut. A ja jestem ciekaw, jak brzmiałoby to w krótszej formie, powiedzmy „piosenkowej”, po kilka minut. **Rondo** to jest rzecz mocno eksperymentalna i jednak nieprzystępna. Większość ludzi mówi, że jest zbyt nudna.

A jak na ten materiał reagują ludzie na koncertach?

Mam wrażenie, że publiczność bardzo dobrze reaguje, jest wsłuchana i zawsze dostajemy oklaski. Na żywo gramy dwa dłuższe improwizowane utwory, a w środku występu zamieniamy się radiami. Wydaje mi się, że dla ludzi jest to coś ciekawego do obserwowania, jak gramy na radiach, bo używamy też pilotów do telewizora, żeby zmieniać brzmienie. Wizualnie prezentuje się to ciekawie, jak po obu stronach stołu siedzi dwóch kolesi, na dodatek tak do siebie podobnych, i majstrują przy tych radiach. Jeśli chodzi o organizatorów naszych koncertów... od jednego usłyszałem, że to, co robimy, jest dobre na 10-minutowy wstęp, a potem powinniśmy wziąć, cytuję, „jakieś



Radioda

Rondo



loopery i tutaj loopować, żeby rytmy się robiły i żeby to takie bardziej muzyczne było”. Jeśli coś takiego pada z ust organizatora, to wiesz, nie jestem do końca pewien, co myśli publiczność (śmiej). Pamiętam, jak pierwszy raz graliśmy w Poznaniu. W trakcie koncertu ktoś zaczął klaskać, pewnie po to, żeby nas przegonić, ale najzabawniejsza sytuacja miała miejsce po występie. Podszedł do mnie jakiś koleś i pyta: „Aaa, to ty dzisiaj grałeś?”. „No no, ja”, odpowiadam. A on: „Słuchaj, bo wiesz... ty grasz na jakimś instrumencie?”. Ja mówię, że nie, na co on mówi: „Właśnie, może najpierw pograj na jakimś, poćwicz, a później się zabierz za takie rzeczy”.

(śmiej) I co powiedziałeś?

Że nie o to mi chodziło, ale w porządku. I poszedłem sobie. Nie chciało mi się z nim dyskutować, bo widziałem, że ma bardzo ograniczone podejście. Zupełnie się tym nie przejąłem, w tej muzyce nie chodzi o to, żeby pokazać wirtuozerię. W ogóle w mojej twórczości muzycznej i rysunkowej nie chodzi o wirtuozerię.

Może on nie zauważył, że „da” w nazwie Radioda nawiązuje do dadaizmu?

Dokładnie. Jest tam dużo przypadku, więc naturalnie dada. A tę nazwę wymyślił mój brat.

A Ty co wymyśliłeś na przyszłość?

Teraz ze scenarzystami Tomkiem Kontnym i Grzegorzem Januszem pracuję nad dwoma albumami komiksowymi. Pierwszy scenariusz od dawna czeka na narysowanie i bardzo się cieszę, że tyle poczekał, bo moja kreska stała się w ciągu lat dużo lepsza. Poza tym wymyśliłem zakończenie, które wywraca całą historię do góry nogami, zaproponowałem je Tomkowi i on je zaakceptował. Drugi album robię z Grzegorzem Januszem. Będzie to adaptacja jego opowiadania

i jak często u Grzegorza bywa, rzecz będzie traktować o literaturze. To są moje najbliższe plany komiksowe, które chcę jak najprędzej zrealizować. Niektórzy po **Przygodach Nikogo** myśleli, że to moje pożegnanie z normalnym komiksem i wejście na ścisłą ścieżkę eksperymentu. A ja nadal chcę publikować zarówno eksperymentalne rzeczy, jak i bardziej typowe komiksy, docierając z nimi do szerszego grona odbiorców. Jeśli chodzi o plany muzyczne, to w wakacje zrobiłem sporo beatów do mojego projektu rapowego z koleżanką ze studiów. Ona będzie rapować o swoich kontaktach z dresiarzami i o „prawdziwym życiu” do moich podkładów. We wkładce tej płyty chcemy umieścić motto: „Jakie życie, taki rap”. Cytat za Peją oczywiście. Chciałbym także wrócić do opowiadania o beatach na scenie i na tej podstawie zrealizować koncert w Klubie Komediowym w Warszawie. Jest też pomysł na płytę mojego drugiego projektu z bratem, który nazywa się po prostu Tkacze, gdzie Piotr improwizuje na gramofonie, a ja na samplerze. Pod względem instrumentalnym jest to typowo hiphopowy duet, ale muzycznie całkowicie dekonstruujemy hip-hop. Poza tym myślę o solowym, abstrakcyjnym projekcie na sampler, no i o drugiej płycie Radiody.

*Oby wszystkie Twoje plany się spełniły.
Dziękuję za rozmowę.*

Dzięki!

Rozmawiał: Maciej Kaczmarski



PREMIERY. gier

#platformówka #kooperacja

Rayman Legends

Legends początkowo miały się pojawić wyłącznie na jeszcze nie rozwiniętej, a już umierającej konsoli Wii U. Deweloperzy poszli jednak po rozum do głowy, czego efektem jest bodaj najlepsza część serii. Wydawało się to niemożliwe, a jednak – **Legends** zdołały przebić rewelacyjne **Rayman Origins**. Hardkorowcy będą jednak kręcić nosem, bo poziom trudności został lekko obniżony. Teraz jest on odpowiedni przede wszystkim dla początkujących graczy, choć i ci, którzy z każdego etapu muszą wycisnąć sto procent, znajdą tu coś dla siebie. Rewelacyjnie prezentują się także etapy muzyczne, w których niesamowicie barwne wydarzenia synchronizują się z płynącą prosto z głośników muzyką. **Rayman Legends** to uczta nie tylko dla ciała, ale i duszy. I to dla całej rodziny!

#MOBA #Władca Pierścieni #sieciówka

Guardians of Middle-Earth

Zdaje się, że uniwersum wykreowane przez Tolkiena nigdy nie zniknie z ekranów – zarówno komputerów, jak i telewizorów. **Guardians of Middle-Earth**



to dość mizerna próba przeniesienia mechanizmów, które święcą triumfy w **League of Legends**, na realia konsolowe. Choć samo sterowanie zostało przystosowane do padów całkiem nieźle, to cała reszta woła o pomstę i nawet Gandalf ze swoją wiedzą nie jest w stanie tu pomóc. Co to bowiem za MOBA, skoro podczas meczu nie można kupować nowych przedmiotów? Co to za MOBA, skoro do dyspozycji jest tylko 22 bohaterów? Co to... no, nieważne. Jeżeli Śródziemie miałyby takich strażników w książkowej trylogii, to ta mogłaby się zakończyć już na drugiej części. Tylko dla zatwardziałych fanów Tolkiena.

#strategiczna #starożytność

Total War: Rome II

Powrót do czasów świetności Cesarstwa Rzymskiego to ewolucja serii, a nie rewolucja, jak niektórzy oczekiwali. Twórcy obok sprawdzonych schematów zaimplementowali kilka nowości, które sprawiają, że uśmiech na twarzy doświadczonego lanisty pojawia się mimowolnie. **Rome II** po raz pierwszy oferuje bowiem potyczki, w których jednocześnie biorą udział jednostki lądowe i morskie, co prowadzi do efektownych starć poprzeczanych abordażem w basenie Morza Śródziemnego. Zmian doczekał się także system zarządzania prowincjami i chyba pierwszy raz nie jest on przysłowiowym wrzodem na trackiej dupie. Gdyby tylko inteligencja komputerowych przeciwników stanowiła większe wyzwanie, a kiepska optymalizacja nie smagała batem komputera za każdym razem, gdy na polu bitwy pojawia się

Skala ocen:

Balls of steel

Headshot!

I live, again

Let's rock

War. War never changes

Przed wyruszeniem w drogę,
należy zebrać drużynę

Finish him!

Bomb has been planted

**
Blood for the Blood God

*
Game over



garstka żołnierzy, to zabawa w Cezara byłaby idealna.

#akcja #sandbox

Grand Theft Auto V

GTA V to jedna z tych gier, które w ogóle nie potrzebują recenzji i poddają pod wątpliwość sens istnienia tej formy publicystyki. Wszyscy zainteresowani i tak już zdążyli ją kupić. W tym przypadku marka broni się sama, choć skłamałbym, gdybym napisał, że Rockstar się do niej nie przyłożył. Ryzykowne wdrożenie trójki głównych bohaterów okazało się strzałem w dziesiątkę. Pokręcona fabuła stała się jeszcze bardziej pokręcona, wplatając wiele wątków pobocznych i nawiązań do poprzednich części. I choć możliwość przełączania się pomiędzy postaciami w trakcie misji to raczej dodatkowy smaczek niż główny atrybut, w ogólnym rozrachunku rozmnożenie bohaterów to świetny pomysł. W piątce postawiono także na bardziej zręcznościowy model jazdy i kilka mniej racjonalnych misji, przez co skrzętnie budowany w czwórce realizm uleciał niczym dwutlenek węgla w niedopitym piwie, które Trevor zwykł walić przed snem. I właśnie dlatego **GTA V** nie zasługuje na maksymalną ocenę.

#strzelanka #oldschool #sc-fi

Alien Rage

Po niezbyt udanym, stawiającym na realizm **Snajperze**, polskie CI Games niejako powraca do korzeni. Niestety robi to dość ułomnie. Choć do poziomu mułu, w którym kiedyś firma pływała, jest już daleko, to **Alien Rage** aspiruje najwyżej do miana przecięt-



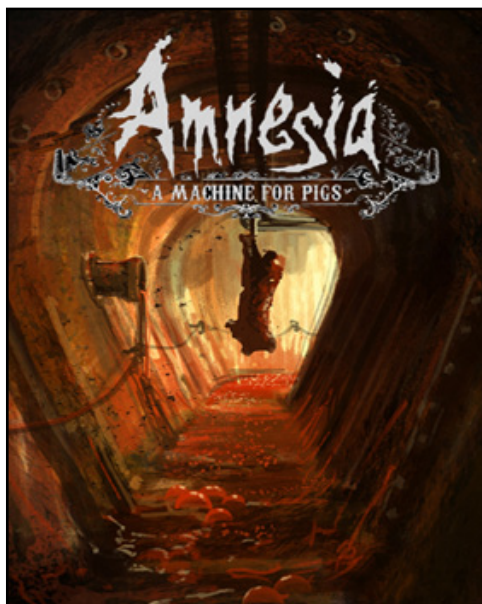
niaka. Wśród polskich deweloperów panuje moda na **oldschoolowe** strzelanki, jednak to, co jednym się udaje (**Hard Reset**), niekoniecznie przekłada się na poziom **Alien Rage**. Ten ostatni cierpi na bezpłciowość. Z jednej strony twórcy chcieli stworzyć grę w starym stylu, z drugiej pełno tu nowoczesnych naleciałości, które w ogólnej koncepcji niekoniecznie się sprawdzają. Ni to pies, ni wydra. Choć z czystym sumieniem należy stwierdzić, że strzela się dość przyjemnie i jest to jednocześnie jedna z lepszych produkcji, które wyszły spod skrzydeł warszawskiego studia.

#horror #FPP

Amnesia: A Machine for Pigs

Na **Maszynę** czekałem z wywieszonym jęzorem, jednak po kilkunastu minutach gry zdążył mi on zdrętwieć. Na próżno tu szukać schematów, które bawiły w poprzedniej **Amnesii**. **A Machine for Pigs** stawia na coś zupełnie innego – wycieczkę do wnętrza umysłu, poznanie własnego jestestwa i uświadomienie sobie, że jesteśmy wyłącznie kupą mięsa (dosłownie!). A wszystko to w akompaniamencie industrializacji, która była cechą charakterystyczną wiktoriańskiego Londynu. Momentami dreszczyk emocji mimowolnie wdziera się na plecy, wywołując niemiłe uczucie. Choć do poziomu poprzedniczki sporo brakuje, właśnie chyba to jest największym problemem. Zbyt duże oczekiwania wynikające z jakości części pierwszej poniekąd zabiły frajdę z gry. Mimo wszystko to wciąż kawał dobrego horroru.

Opracował: Wojciech Onysków





Telewizja Wirtualnej **Stolicy Gier**

Sylwester na *Summoner's Rift*

Po czym poznać nadchodzące święta? Odpowiedzie, że po sklepowych wystawach, które mienia się tysiącem barw i zachęcają do kupienia wyjątkowego prezentu, po czerwonych tirach z logiem pewnej firmy i oczywiście po Kevinie, który znowu został sam w domu na Polsacie. A ja wam powiem, że wszyscy jesteście w błędzie.

Prawdziwy gracz czuje, że nadchodzą święta, gdy w jego ulubionej grze szykowane są eventy. Najwięcej z nich odbywa się oczywiście podczas Bożego Narodzenia, jednak ze względu na duży przekrój społeczno-religijny użytkowników w przeciągu całego roku

na serwerach rozgrywają się liczne wydarzenia tego typu. Mimo wszystko gracze kultury zachodniej rozpoczynają świętowanie w okolicach listopada.

Pierwszą okazją do przywdziania wirtualnego kostiumu jest Halloween. Choć wiele osób w naszym kraju sprze-





Guild Wars

ciwia się obchodzeniu tego święta, nie podlega wątpliwości, że świecące dyńe generują specyficzny, tajemniczy klimat, który nastraja graczy w kilku największych grach. W **League of Le-**

gends można zakupić unikalne stroje dla postaci, by pochwalić się nimi na specjalnie przygotowanej lokacji. Nie brakuje na niej również pomarańczowych dyń, wielkich nietoperzy i latających duszków. W **Guild Wars** na czas halloweenowych szaleństw pojawia się dyniogłowy Szalony Król, który aż prosi się o wyśmianie. W świecie gry czeka wiele wyzwań inspirowanych tym świętem. Można na przykład spróbować sił w klasycznej zabawie „cukierek albo psikus”, choć w tyriańskim wydaniu to drugie wcale nie oznacza niewinnego żartu.

Gamingowym apogeum jest oczywiście Boże Narodzenie. Zewsząd atakują nas czerwono-białe czapki, ogromny bałwan przejmuje kontrolę nad hordą zombie w **Killing Floor**, a Świętemu Mikołajowi, jak na głównego bossa przystało, trochę się podgniło i zzieleniało. W końcu trzeba się wtapiać w otoczenie.



Killing Floor





Killing Floor

Eventy w grach to jednak nie wszystko. Największą atrakcją dla graczy i zmorą dla ich portfeli są świąteczne wyprzedaże. Steam organizuje całkowitą czystkę wirtualnych magazynów, oferując jeszcze świeże hity w absurdalnie niskich cenach. Do pieca dokładają także rodzimi dystrybutorzy, organizując giermasze w większych miastach. Jednym słowem – dzieje się.

I to właśnie dzięki takim drobnostkom zapaleni gracze czują, że nadchodzi święta. Udziela im się specyficzna atmosfera, internetowe trolle są przez chwilę jakby miłsze i wszyscy składają

sobie serdeczne życzenia przed odstrzeleniem głowy.

Być może z zewnątrz postrzegani jesteśmy jako dziwacy. Cieszymy się jakimiś gierkami, zamiast zabrać się za coś pożytecznego. Mimo wszystko w dobie całkowitej obłudy, sztucznej świątecznej atmosfery i nastawienia na masową konsumpcję, to właśnie gry są sensowną alternatywą i odskocznią od rzeczywistości. Odszkodźnia, w której święta wciąż wyglądają atrakcyjnie i wszyscy cieszą się z ich nadejścia.

Wojciech Onysków



Przyszłość należy do PARY

Chwilę po tym, jak Valve ogłosiło swoją wizję gamingowej przyszłości, w której komputery graczy skupione są wokół salonu, wiele osób popukało się w czoło. Pojawiły się głosy, by Gabe Newell w końcu przestał grzebać przy sprzęcie i zajął się produkcją **Half-Life 3**, na którego wszyscy czekają. Faktycznie, wizja przeniesienia poczziwego blaszaka do salonu i postawienia go na równi z konsolami jest nieco zwariowana.

Pomysł Valve opiera się na trzech niezależnych od siebie składowych – SteamOS, Steam Machines oraz Steam Controller. Pierwszy z nich to zmodyfikowany Linux przystosowany do współdziałania z platformą Steam. Można podejrzewać, że do obsługi biblioteki gier nie będzie potrzebna zewnętrzna aplikacja. Wbudowany klient zawrze w sobie potrzebne do uruchomienia poszczególnych tytułów sterowniki, a preinstalowany komunikator pozwoli na swobodną rozmowę ze znajomymi. W jednym miejscu skupione zostanie wszystko, co graczom do szczęścia potrzeba.

Steam Machines to gotowe zestawy komputerów przygotowane z myślą o współpracy z autorskim systemem operacyjnym. Rzecz najmniej ważna z punktu widzenia gracza, gdyż Valve podkreśla, że każdy będzie mógł zbudować własną „parową maszynę”.

I nic w tym dziwnego nie ma, w końcu większość posiadaczy komputerów osobistych składa je samemu według pewnych utartych preferencji. Pod tym względem Valve Ameryki nie odkrywa.

Kolumb mógłby się jednak zawstydić przy Steam Controller. Ten niepozorny pad, posiadający dwa dotykowe panele zamiast typowych gałek, w pełni przenosi możliwości sterowania za pomocą klawiatury i myszki. Będą do niego przystosowane wszystkie gry oparte na platformie Steam, a po pierwszych prezentacjach można spokojnie stwierdzić, że rozgrywka w ulubioną strategię czy nawet sieciową strzelankę nie nastręczy żadnych trudności. Wręcz przeciwnie, gdy dodamy do tego możliwość wygodnego rozłożenia się na kanapie i obserwowania bitwy na 40-calowym telewizorze, salonowy pomysł nabiera głębi.



Wyzwolić graczy

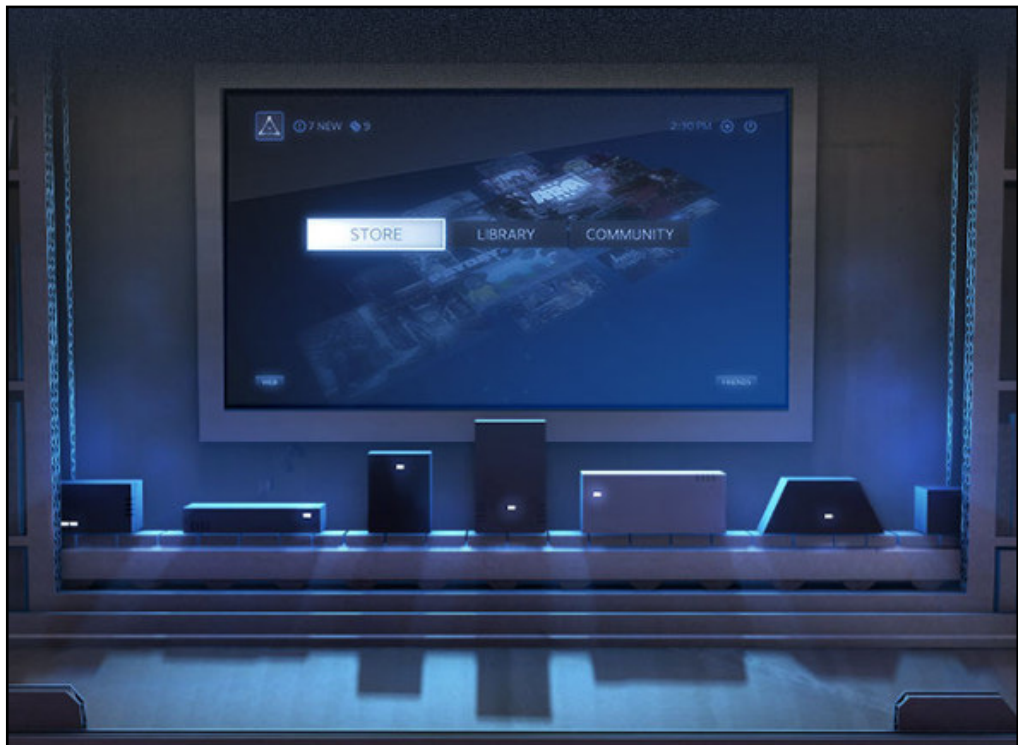
Valve postanowiło wyzwolić graczy spod jarzma wielkich korporacji. Dotychczas granie na komputerze sprowadzało się do posiadania Windowsa. Wraz ze SteamOS ma przyjsć odwilż, a kto wie, czy za kilka lat wolne oprogramowanie – w tym przede wszystkim Linux – nie stanie się główną platformą miłośników gier. Że pomysł szalony? A czy dziesięć lat temu nie powiedzielibyśmy tak samo, gdyby ktoś chciał nam sprzedać ulubiony tytuł bez płyty i pudełka w formie cyfrowej?

Pierwszy etap wyzwolenia zresztą już się zaczął. Wszyscy ci, którzy tak bardzo utyskiwali na Steama i jego ograniczenia w kwestii odsprzedaży gier, teraz wychwalają Newella za nowy pomysł. Valve zapowiedziało bo-



Steam Controller

wiem program **Family Sharing**, który, najprościej mówiąc, umożliwia dzielenie się swoją biblioteką gier z rodziną i znajomymi – całkowicie za darmo, bez dodatkowych kosztów. Zupełnie jakby ktoś pożyczył od nas płytę – z tą różnicą, że mamy do niej dostęp



w każdym momencie. Teoretycznie Valve może na tym stracić. W końcu jaki problem złożyć się w kilka osób na nową odsłonę **Call of Duty** i grać w nią na zmianę? Wydaje mi się jednak, że na sympatii użytkowników w ogólnym rozrachunku można jedynie zyskać.

Dla kogo?

Prawdopodobnie największą zagadką „parowej rewolucji” jest jej docelowy odbiorca. Dla kogo tak naprawdę powstaje nowa platforma? Gracze pecetowi to w głównej mierze społeczność hardkorowa, która ponad kanapową wygodę przedkłada precyzję myszki i moc swojej maszyny. Nie wiadomo, czy nagle zechcą zmienić swoje nawyki i przenieść się do salonu, gdzie przecież rządzą konsolowcy i autocelowanie.

Ale za to ci drudzy już bardzo chętnie chwycą w rękę pad i nadrobią pecetowe zaległości. Podobnie jak PlayStation czy Xbox blaszaki również posiadają masę ekskluzywnych gier, w które aż grzech nie zagrać. Dlaczego nie zrobią tego teraz? Z powodu kontrolera. Znam kilku zatwardziałych fanów konsol, którzy choćby chcieli, to i tak na klawiaturze i myszce grać nie potrafią. Czyżby Steam wyciągał do takich osób pomocną dłoń?

Cokolwiek przyszłość przyniesie, jedno jest pewne. Jeżeli ktoś ma dokonać rewolucji w branży gier, z pewnością będzie to Valve. Skoro raz im się udało, to dlaczego teraz miałyby być inaczej? Dajmy im po prostu trochę czasu.

Wojciech Onysków



BUDUJEMY
MUZEUM GIER WIDEO
WE WROCŁAWIU